

Pisarz nie jest właścicielem piękna



Christian Teodorescu, fot. mat. prasowe.

Rozmowa z rumuńskim pisarzem Cristianem Teodoresc o tragikomiczności w życiu i literaturze oraz o utraconej pamięci i jej odzyskiwaniu.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Pańska książka "Medgidia miasto u kresu" zrobiła na mnie wielkie wrażenie i choć czytałam ją przed rokiem, utkwiły mi w pamięci liczne obrazy. Jednym z nich są papryczki Januszka – jednego z Pańskich bohaterów. Po przeczytaniu tej historii, papryczki już na zawsze będą mi się kojarzyć z tą opowieścią. Proszę mi przy okazji zdradzić, czy Januszek jest postacią fikcyjną, czy ma swój pierwowzór i czy rzeczywiście zmarł po spożyciu pięćdziesięciu ostrych papryk...

Cristian Teodorescu: Prawdziwy Januszek wielokrotnie zjadał taką ilość papryczek i wygrywał zakłady, ale w tym przypadku jednak naprawdę stracił życie.

BLC: Dla mnie ta historia jest – jak w przypadku innych Pana bohaterów – przykładem ironii losu. Kiedy spodziewamy się (a może pragniemy) jakiegoś pozytywnego zakończenia, sprawy przybierają zgoła tragiczny obrót.

CT: A czy w ogóle możliwe jest życie inne niż tragikomiczne..?

BLC: Ale dla starożytnych Greków było tragiczne.

CT: To prawda, że Grecy nie miesza­li tragizmu z komizmem. Prawdopodobnie jedynym zwornikiem był chór antyczny, który komentował wydarzenia na różne sposoby. Moim zdaniem, ten tragikomizm jest naszą daniną, którą musimy oddać jednemu Bogu, który się ostał w naszej kulturze. W starożytności bogów było wielu. W "Imieniu róży" Umberto Eco występuje postać, która nie lubi się śmiać: brat Jorge z Burgos. Ukrywał traktat Arystotelesa o komizmie, przekonany o destrukcyjnej sile śmiechu. Gdybyśmy tak samo myśleli, skutki tego byłyby równie tragiczne, jak w powieści Eco.

BLC: We wstępie do swojej powieści podkreśla Pan rolę prawdy, która została wymazana z pamięci narodu oraz istnienie białych plam w historii Rumunii. A z drugiej strony pragnie Pan opowiadać piękne historie: o swoich dziadkach, o swoim mieście... Która z tych motywacji była silniejsza?

CT: Obie te motywacje były równie silne. Część opisanych przeze mnie historii jest prawdziwa, część wymyślona, ale w obu przypadkach chodziło o to, aby jak najbardziej zbliżyć się do prawdy o tamtych czasach. A że przy okazji są to ładne opowieści, to już nie moja zasługa, tylko tego kogoś "z góry". Pisarz nie jest właścicielem piękna, raczej jego depozytariuszem. Trudno też jest jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy tego typu opowieści są w stanie przyczynić się do odzyskania zbiorowej pamięci. Mam jednak nadzieję, że przynajmniej

mieszkańcy Medgidii, którzy przeczytali książkę, dowiedzieli się czegoś o nieznanej im kompletnie historii miasta.

BLC: Jednak sposób opowiadania historii jest już dla pisarza charakterystyczny. Język Pana opowieści jest dla mnie wprost niezwykły, co jest zapewne także zasługą dobrego tłumacza, bo przecież nie znam oryginału.

CT: No cóż, czasami bywa tak, że tłumacz jest bardziej utalentowany niż autor (śmiech).

BLC: Nie przesadzajmy. Sam pomyśl, układ opowiadań, które są rodzajem mikrokosmosów, bo każde opowiadanie ma swoją dramaturgię i może stanowić odrębną całość – to wszystko są Pana oryginalne pomysły.

CT: Od samego początku myślałem o tym, żeby napisać powieść, która będzie inna niż wszystkie. Pierwszych kilkadziesiąt części nie sprawiły mi zbyt wiele kłopotu – pisały się gładko. Ale około sześćdziesiątej części zaczęły się poważne problemy. Musiałem bardzo się pilnować, aby początek kolejnej opowieści nie był powtórzeniem tego, co wydarzyło się wcześniej, a jednocześnie akcja musiała postępować i rozwijać się. Należało bardziej wysilić wyobraźnię, aby wygrać zakład z sobą samym o to, że uda mi się stworzyć taką właśnie nietypową opowieść.

BLC: Kiedy czytałam Pańską książkę po raz pierwszy, porównałam ją do wschodnich miniatur – precyzyjnie zbudowanych opowieści, mających podwójne dno. Kiedy zajrzałam do niej ponownie, przygotowując się do wywiadu, skojarzyła mi się – *toutes proportions gardées* – z epopeją Homera. W obu przypadkach mamy do czynienia z opowieścią o końcu jakiegoś świata, a poza tym Pan również zbiera w jedną całość historie, które się wydarzyły naprawdę i przedstawia je w formie literacko wysublimowanej i dojrzałej. Na ile zmienił Pan gotowe historie, że stały się tym "czymś więcej"?

CT: Kilkanaście spośród opowiedzianych w książce historii zostało przejętych z opowieści moich dziadków i przyjaciół. Jednak większość z nich jest wytworem mojej wyobraźni. Podczas promocji mojej książki w mieście Medgidia jeden z uczestników spotkania powiedział, że słyszał historię majora Scipiona i zaczął mi o nim opowiadać. Kiedy skończył swoją wypowiedź, z żalem musiałem go poinformować, że takiej osoby nigdy nie było i jest ona całkowicie wytworem mojej wyobraźni (śmiech).

BLC: Zawarł Pan w swojej powieści nie tylko ludzkie historie, ale nawet opowieść o psie jednej z bohaterów, co mnie niezwykle urzekło, bo w ten sposób w Pańskim mikrokosmosie nie brakuje właściwie niczego... Jednocześnie czytelnik ma świadomość, że opisuje Pan świat, którego już nie ma.

CT: Wychowałem się w Medgidii i zapamiętałem z dzieciństwa, jak dwa razy w tygodniu przez miasteczko przejeżdżał wóz hycła, który wyłapywał bezdomne psy. W psich oczach widziałem tak wielki smutek, że zapamiętałem to do końca życia. I kiedy zacząłem pisać tę opowieść, postanowiłem poświęcić jej część również psiemu losowi.

Dziadkom, u których spędziłem wczesne dziecięce lata, zawdzięczam wiele opowieści, dzięki czemu udało mi się zapamiętać atmosferę tamtego świata. Ludzie należący do jego elit zostali zepchnięci po wojnie na obrzeża, ponieważ nowy reżim ich nie tolerował. Odchodzili na moich oczach, a wraz nimi znikał tamten świat. Do Medgidii zaczęli przyjeżdżać za pracą nowi ludzie, którzy nieśli ze sobą inne historie, zupełnie różne od dotychczasowych. Po śmierci dziadka Stefana zrozumiałem, że to jest już zupełnie inne miasto.

BLC: Ale powrócił Pan do niego w swojej twórczości...

CT: To nie ja powróciłem do Medgidii, ale ona wróciła do mnie! W pewnym momencie zacząłem sobie przypominać te różne historie i gdyby nie było tych czterech – pięciu głównych postaci, trudno by mi było stworzyć całość opowieści.

BLC: Czy w Pańskiej twórczości temat pamięci jest wiodący?

CT: Temat utraconej pamięci jest obecny w mojej prozie od samego początku, kiedy to powstało opowiadanie "Dom", w którym zawarłem historię mojej babci z Medgidii. Po opublikowaniu go w antologii, spoczęło w szufladzie, ale już wtedy chciałem podjąć ten temat ponownie i znacznie szerzej. W innej mojej książce – *Tainele inimei* ("Sekrety serca") również jest obecna postać majora Scipiona, który całym sobą przypomina o świecie bezpowrotnie minionym.

BLC: A co Pan pisze obecnie?

CT: W ubiegłym roku pojawił się pierwszy tom z cyklu *Șoseaua Virtuții. Cartea Câinelui* („Droga cnoty. Księga psa”) – powieść o transformacji ustrojowej, od lat 90., kiedy to tworzył się drapieżny rodzimy kapitalizm. Obecnie pracuję nad drugim tomem, ale myślę też o powieści, która tworzyłaby dopełnienie do "Medgidii". Tym razem jednak chciałbym opisać świat dziadków mojej żony, pochodzących z Transylwanii, którzy po wojnie przybyli "za chlebem" do stolicy. Ich losy stanowiłyby kanwę nowej powieści. Mam nawet w głowie gotowy pierwszy rozdział, w którym opisuję prawdziwe wydarzenie. Otóż kiedy zmarła babcia mojej żony, do drzwi zapukało dwóch ubranych na czarno starszych panów, którzy oświadczyli, że są z towarzystwa pogrzebowego "Kukułka" i oferują swoje usługi. Okazało się, że babcia posiadała legitymację z numerem jednego z tego towarzystwa, a co więcej – jego założycielem był mąż babci.

Trumnę miał wieźć wóz zaprzężony w kilka koni, ozdobnie wystrojonych w czarne pióropusze. Był rok 1981 i matka żony odmówiła takiego pompatycznego pogrzebu, ale w moim opowiadaniu babcia zostanie jednak pochowana tak uroczyście.

<http://kulturaonline.pl/>

Syn Polki i indiańskiego wodza – Sienkiewiczem

kanadyjskich Indian



Sat-Okh, fot. Daniel Pach, photopach.

Ewa Bagłaj

W życiu Sat-Okha, czyli Stanisława Supłatowicza, połączyły się losy dwóch, nękanych przez historię narodów — Indian i Polaków. Jest on autorem szeregu książek przywołujących indiańską przeszłość, które opierają się na prawdziwych wydarzeniach. Jego współplemieńcy, spychani do rezerwatów, nie byli w stanie obronić swej kultury. Aby im pomóc, Sat-Okh

zaczął pisać. Beletryzując historię, przywoływał echo minionych bitew, wskrzeszał szlachetnych bohaterów, opiewał ich dramatyczną, nierówną walkę z białym najeźdźcą w obronie własnej tożsamości, religii i ziemi. Zbierał legendy oraz informacje o codziennym życiu swych przodków. W stosunku do Indian kanadyjskich jego twórczość spełniała rolę podobną do tej, jaką powieści Henryka Sienkiewicza odegrały w literaturze polskiej.

Sat-Okh (w narzeczu Indian z plemienia Shawnee – Długie Pióro) urodził się około 1922 roku, jako syn Polki i indiańskiego wodza. Jego matka, Stanisława Supłatowicz w 1905 roku w wyniku carskich represji trafiła na Syberię. Stamtąd, wraz z grupą polskich zesłańców, przedostała się przez Zatokę Beringa i Alaskę do Kanady. Tam poznała wodza plemienia Shawnee – Leeono-ma (Wysokiego Orła), którego wkrótce poślubiła. Jej nowe imię brzmiało Ta-Wach (Biały Obłok). Sat-Okh całe dzieciństwo i wczesną młodość spędził wśród Indian w kanadyjskiej puszczy, co opisał w *Ziemi słonych skał* (1958). W wieku pięciu lat należał już do tzw. „szkoły wilków”, w której uczył się tropienia i polowania. Przebywał wśród Indian do 16 roku życia. Na przełomie roku 1936/1937 wraz z matką i bratem przyjechał do Polski, by odwiedzić mieszkającą tu rodzinę. Hitlerowska agresja zastała ich w Radomiu. Po wybuchu wojny droga powrotu do Kanady została odcięta. Młody Indianin przyjął imię matki oraz jej panieńskie nazwisko i zaangażował się w konspiracyjną walkę

z okupantem. W 1940 roku został złapany przez gestapo. Dzięki swej niezwykłej odwadze i świetnej kondycji fizycznej „człowieka puszczy” udało mu się wyskoczyć z bydłowego wagonu transportującego więźniów do obozu w Oświęcimiu. Został żołnierzem Armii Krajowej, nieocenionym w konnym zwiadzie (pchor. „Kozak”). Walczył w rejonie Gór Świętokrzyskich. Za męstwo odznaczono go Krzyżem Walecznych. Jako żołnierz I Batalionu Morskiego brał udział w walkach o wyzwolenie Wybrzeża. Po zakończeniu wojny został aresztowany i uwięziony przez władze polskie za przynależność do Armii Krajowej. Przez pewien czas służył w Marynarce Wojennej, był także wolontariuszem w Ratownictwie Morskim. Po uzyskaniu średniego wykształcenia technicznego pływał przez wiele lat jako mechanik na statkach Polskich Linii Oceanicznych. Osiedlił się na Wybrzeżu. W czasie rejsów na „Batorym” udało mu się odwiedzić pozostałą w Kanadzie siostrę. W 1958 roku zaczął pisać, przywołując w książkach swoją indiańską przeszłość. Jego książki przeznaczone były głównie dla młodego czytelnika. Wszystkie własnoręcznie zilustrował. W posłowniu do pierwszej z nich tak określa swoje posłannictwo:

Polska stała się moją nową ojczyzną. Chciałem jednak tej pierwszej oddać sprawiedliwość. Postanowiłem więc opowiedzieć wam o niej, młodzi przyjaciele, opowiedzieć o życiu Indian, o ich trudnym i twardym losie. Mam nadzieję,

że dzięki tej książce potraficie może trochę lepiej niż dotychczas zrozumieć ich życie, marzenia, ich miłość do puszczy, ich walkę o wolność, której pozostało im już tak niewiele, a której tak bardzo im potrzeba.

(Sat-Okh, *Ziemia słonych skał*, Czytelnik, Warszawa 1958, s.243).

Książki te cieszyły się w PRL sporą popularnością nie tylko wśród młodzieży. Autor nie miał ambicji tworzenia tzw. literatury wysokiej, jednak uniwersalna wymowa jego utworów oraz barwne opisy egzotycznych krajobrazów Kanady i jej pierwszych mieszkańców nadają twórczości Sat-Okha pewien walor artystyczny. Jest to jedyny w literaturze polskiej obraz Kanady widziany z perspektywy jej rdzennego mieszkańca. Najistotniejszą jego częścią jest przedstawienie kultury Indian Odzibwejów, zwanych Czarodziejami Lasu.

Odzibwejowie (Ojibway, Ojibwa), znani w USA także jako Czipewejowie (Chippewa), a na północy Kanady jako Saulteaux (Soto) – byli trzecim co do wielkości plemieniem indiańskim w Ameryce Północnej. (...) Ich sława wywodziła się nie tyle z wyczynów wojennych, ile z niedoścignionej konstrukcji lekkich, zgrabnych i obszernych łodzi typu kanu (canoe) z kory brzozonej, mistrzowskiej znajomości żeglugi

śródlądowej, czy kunsztownej wyprawy skór zwierzęcych i przepięknej sztuki dekoracyjnej. Ich pełna finezji sztuka, poezja mitologia, zadziwiające praktyki lecznicze, bogata kultura duchowa i materialna, sprawiły, że Odżibwejów nazywano Czarodziejami Lasu. Ci leśni magowie, artyści, wytrawni myśliwi i żeglarze przez wiele pokoleń niepodzielnie władali rozległymi lasami nad Jeziorem Górnym i na Dalekim Zachodzie aż do źródeł Missisipi, kanadyjskich jezior Nipigon czy Seul oraz obrzeża trawiastych równin dzisiejszej prowincji Manitoba i Saskatchewan.

(Leszek Michalik, Świat i życie Odżibwejów [w:] „Kayfis ochi.” Biuletyn informacyjny Sztumskie Koła Zainteresowań Kulturą Indian „Stowarzyszenie Żółwi”, jesień-zima 2000/2001, nr 2(50), s.16.

Pismo, którego tytuł w języku Kri Równin (Plains Cree) Tłumaczy się jako „dawne drogi” bądź „stare obyczaje” było jedynym w Polsce periodykiem wyłącznie poświęconym szeroko rozumianej współczesnej tradycji duchowości indiańskiej i przez to ważnym źródłem specjalistycznej informacji, wykorzystywanym m.in. w wielu ośrodkach akademickich przez studentów etnologii, religioznawstwa, socjologii i innych kierunków. Numer 50. jubileuszowy prawie w całości dotyczy duchowych tradycji

Odżibwejów. Redaktor naczelny pisma, Leszek Michalik, z wykształcenia polonista, z zawodu nauczyciel, pisarz, tłumacz literatury amerykańskiej i dziennikarz w prasie lokalnej woj. pomorskiego, znawca i kolekcjoner rękodzieła indiańskiego, swoje zainteresowania zawdzięcza właśnie Sat-Okhowi, z którym zetknął się osobiście już we wczesnym okresie młodzieńczym).



Stanisław Supłatowicz (Sat-Okh).

Czytając książki Sat-Okha odnosi się wrażenie, że akcja służy autorowi przede wszystkim jako pretekst do przekazania jak największej ilości wiadomości o życiu swych przodków – ich strojach i fryzurach, wyrobach artystycznych, języku, wyglądzie domostw, o kuchni i rzemiośle, sztuce wojennej i myśliwskiej, codziennych zajęciach i świątecznych obrzędach. Przy okazji obala autor wiele fałszywych wyobrażeń. Np. fajka pokoju to

wymysł białego człowieka. W rzeczywistości to święta fajka obrzędowa. (Sat-Okh, *Walczący Lenapa*, Gdańsk 2001, s.25 oraz s.54). Skalpować, o czym wiedzą nieliczni, pierwsi zaczęli hiszpańscy konkwistadorzy. Ciekawy jest też opis wierzeń Odżibwejów i związana z nimi oryginalna mitologia.

Wszystkie plemiona wschodnie, zamieszkujące lasy od Atlantyku aż do krainy Wawa poza jeziorem Górnym, gromadziły legendy i mity o budowie świata, zbliżone w treści do siebie.

(Sat-Okh, *Walczący Lenapa*, Gdańsk 2001, s.94).

Legendy o stworzeniu świata i człowieka zwykle zajmują dużo miejsca w książkach Sat-Okha (*Ziemia słonych skał*, s.7-8; *Walczący Lenapa*, s.94-100; *Serce Chippewaya*, Gdańsk 1999, s.19-25 itd.). Np. bogata wyobraźnię Indian pokazuje mit Mohawków o słońcu i księżycu:

Kiedy Ziemia zaludniła się, kiedy wyrosły trawy, krzewy i drzewa, kiedy lasy, prerie zaroily się zwierzyną i ptactwem, a ludzie zaczęli mówić różnymi językami, Słońce i Księżyc spokojnie i zgodnie wędrowały po Wysokim świecie.²⁹⁶ Po pewnym czasie ludzie zaczęli się kłócić między sobą, nastąpiła

niezgoda i wojny.

Gdy Słońce i Księżyc ujrzały, jak żyją ludzie, zaczęły postępować podobnie i zachowywać się jak mąż i żona. Pewnego razu Księżyc – żona, przypadkowo przeszedł jako pierwszy przed swym małżonkiem, Słońcem przez otwór wyjściowy na krańcu świata. Doprowadziło to Słońce do takiej złości, że zbił żonę tak bardzo, iż rozchorowała się ciężko, schudła i z pięknej jasnej kuli, świecącej nocą, stała się cienka i zakrzywiona. Nie pokazywała się więc przez pewien czas i nad ziemią w porze nocnej panowała zupełna ciemność. (...)

Księżyc szybko odzyskał zdrowie i znowu stał się piękną, jasną kulą, ale kiedy rozgniewane jeszcze Słońce znalazło się po przeciwnej stronie Górnego świata i ujrzało swą małżonkę w pełnym blasku jej urody, udawało, że jej nie poznaje. Kobieta-Księżyc ponownie zaczęła chudnąć ze zmartwienia, aż stała się podobna do dziecinnego małego łuku.

Od tego czasu choroby Księżyca powracają systematycznie; gdy ma nadzieję na odzyskanie łask swego małżonka Słońca – zdrowieje i nabiera pełnych, okrągłych kształtów, gdy traci nadzieję i martwi się – chudnie.

Książki Sat-Okha opowiadają o szlachetnych ludziach żyjących w symbiozie z przyrodą. Wszystkie swe czynności wykonują oni w zgodzie z odwiecznymi prawami natury, co wynika z ogromnego szacunku do Matki Ziemi:

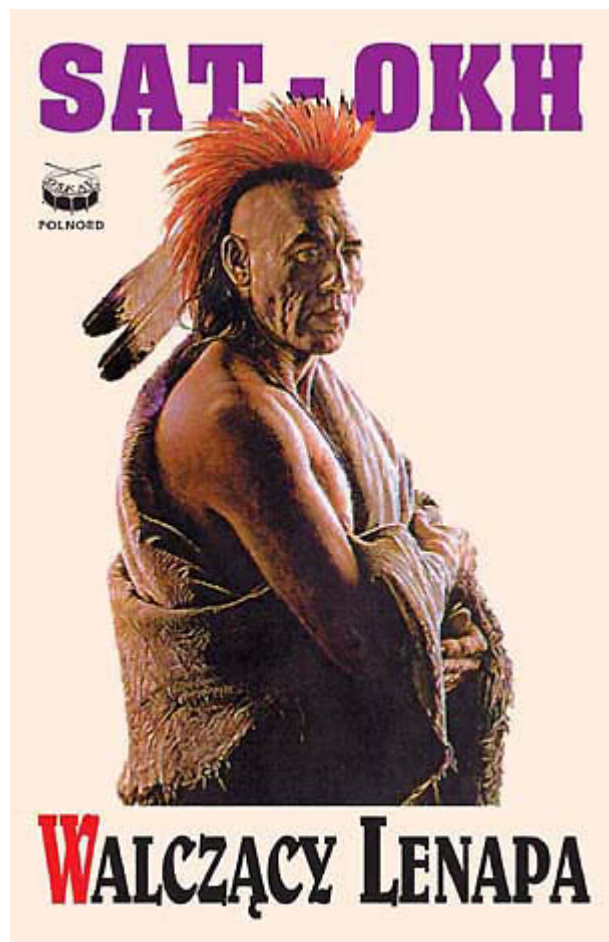
Ty zaś [czytelniku] zejdz ze mną ze skały w samo serce puszczy — zaprasza autor Walczącego Lenapy - Przeprowadziłem cię do niej, abyś ją poznał. Chciałbym cię nauczyć tego, co sam do niej czuję - szacunku i miłości. Jest ona moim domem, domem mego ojca, przyjaciół, domem mego plemienia - Szewaneczów. Żywi nas i odziewa, cieszy nas swoim pięknem, ale potrafi też uczyć strachu. (s.98-99).

Narrator traktuje więc czytelnika jak kogoś bliskiego, wyróżnionego zaszczytem wtajemniczenia. Bowiem w ten sposób indiańscy rodzice przekazywali wiedzę swoim dzieciom:

Nishishin spędzała wiele czasu z córką w lesie, na kwiecistych polanach, tłumacząc jej: - Mała, otwórz uszy na moje słowa, niech na zawsze pozostaną w twoim umyśle i serduszku. W przyszłości, jak dorośniesz, pokażesz je swoim dzieciom. Rozejrzyj się dookoła, popatrz, jak Matka Ziemia okryła się wielobarwną derką utkaną z kwiatów i zielonych krzewów. Nie zrywaj nigdy kwiatów! (...) Zrywając je, nie

widzisz, że płaczą. A one naprawdę płaczą, bo zrywając je zabierasz im życie i duszę, wszystko bowiem, co nas otacza, żyje i odczuwa ból. (...) Każdy kwiat odznacza się mądrością. Przez dotyk owa mądrość przenika do człowieka. Jakie to smutne ułamać gałązkę z drzewa, chociaż zostaje ich przecież wiele. Jeszcze bardziej bolesne jest zerwanie kwiatu, to takie uczucie, jakby matka straciła jedyne swoje dziecko, więc szanuj, Pinneyshis, to wszystko, co cię otacza. Pamiętaj, że świat roślin i zwierząt obdarzony jest takim samym życiem, jakie i my posiadamy. Nie zabijamy więc niczego bez potrzeby, bo czy można cieszyć się z czyjejs śmierci i bólu? Wszyscy tworzymy krąg życia, a niszcząc ten krąg niszczymy siebie.

(Serce Chippewaya, s. 52-53).



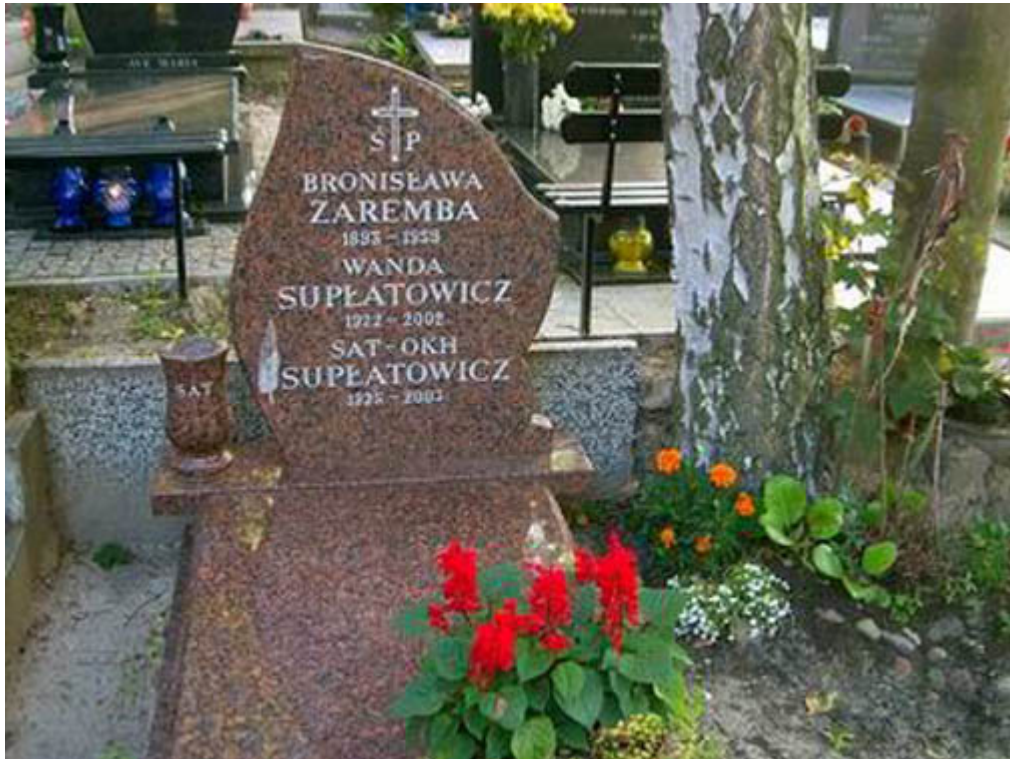
Wątek ekologiczny jest jedną z największych wartości tych lektur, do dziś przysparza bohaterom

Sat-Okha naśladowców. Autor jest również współtwórcą jedyne w Polsce i największe w Europie muzeum poświęcone życiu i kulturze Indian Ameryki Północnej. Wymysłowo koło Tucholi odwiedzają miłośnicy jego twórczości, ludzie którzy w dobie Internetu i dziury ozonowej tęsknią za powrotem do prostoty

życia w bliskości z naturą. Książki Stanisława Supłatowicza okazały się więc zupełnie nietypową promocją Kraju Klonowego Liścia. I to nie tylko w Polsce, bowiem przetłumaczono je na wiele języków europejskich (niemiecki, francuski, czeski, bułgarski, rosyjski, ukraiński), a także poza europejskich (japoński, hebrajski, mongolski). Sat Okh – 1958 „Ziemia słonych skał”; wyd.2, 1958; wyd.3, 1962; wyd.4, 1973; wyd.5, 1974; wyd.6, 1986; 1959 „Biały mustang”; wyd. 2 1960; [wyd. 3] 1983; [wyd. 4] 1983; [wyd. 5] 1987; [wyd. 6] 1993; 1973 „Dorogi schodjatsja” (w jęz. ros., wspólnie z Antoniną Leonidowną Rasulową); 1981 „Powstanie człowieka”; wyd.2, 1988; 1985 „Fort nad Athabaską” (wspólnie z Yácta-Oya); wyd.2, 1989; wyd.3,

1996; 1990 „Głos prerii”; wyd.2, 1997; 1996 „Tajemnica Rzeki Bobrów”; 1999 „Serce Chippewaya”; 2001 „Walczący Lenapa”.

Sat-Okh zmarł 3 lipca 2003 roku w Gdańsku. Został pochowany na gdańskim cmentarzu „Srebrzysko”.



Film o Sat-Okhu:

„Dotykanie świata”



Promocja tomu wierszy Floriana Śmieji „Dotykanie świata” w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r. Prowadzenie Edward Zyman.

Rozmowa z profesorem i poetą Florianem Śmieją

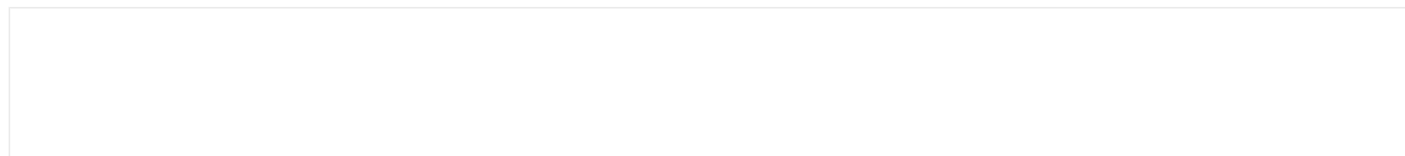
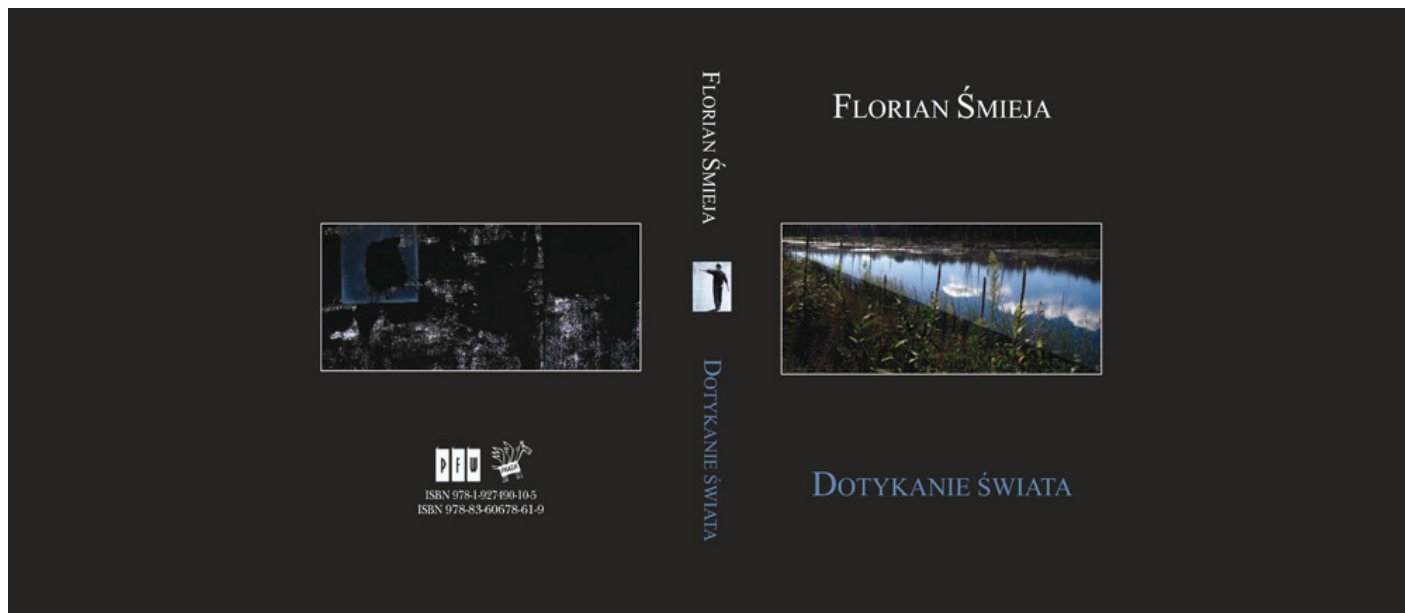
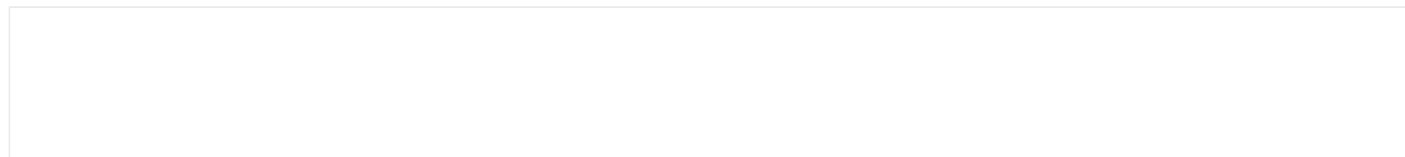
Joanna Sokołowska-Gwizdka: Panie profesorze, w listopadzie ukazał się tom Pana wierszy „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego Pana życia, począwszy od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. W Pana wierszach pojawiają się motywy katastroficzne, mocno zarysowane we wczesnym okresie twórczości, w późniejszym – w warstwie semantycznej łagodnieją, ustępując miejsca refleksji nad sensem bytu.

Florian Śmieja: Byłem świadkiem, a potem uczestnikiem wojny światowej, więc nic dziwnego, że jej horrory zaznaczyły się mocniej w mojej twórczości. Później czasowe oddalenie i zaistniały dystans sprawiły, że odezwały się łagodniejsze tony, a te pozwoliły na zadumę i refleksyjność, na pragmatyczne docenienie stanu posiadania.

JSG: Część z Pana wierszy to małe traktaty filozoficzne pełne rozważań egzystencjalnych. Stawia Pan pytania bez odpowiedzi.

FŚ: Nieraz nas frapuje nieprzewidziany kalejdoskop rzeczywistości i staramy się sformułować swoje niedowierzanie. Stawianie pytań jest łatwiejsze niż ferowanie konkluzji, bo odpowiedzi są trudne, wieloznaczne, często wręcz niemożliwe. Odnoszę wrażenie, że zamiast czuć się *homo sapiens* człowiek

jest *homo quaerens intellectus*, raczej istotą dociekliwą, szuka rozumienia, a sama taka aktywność nas już nobilituje.



JSG: Motywy emigracji, ziemi utraconej, wyobcowania, powrót do wspomnień, kraju dzieciństwa, często pojawiają się w Pana utworach. Czym jest dla Pana emigracja zarówno ta fizyczna, jak i duchowa?

FŚ: Emigracja była nieprzewidzianą i niepożądaną przypadłością. Zdemobilizowany po zakończeniu wojny w Anglii,

miałem różne pomysły włącznie z zostaniem rybakiem dalekomorskim. Byłem już na kursie w szkockim porcie Aberdeen, kiedy otworzyła się możliwość studiów humanistycznych w Irlandii. Te mi się powiodły i poszczęściła kariera zawodowa. W rezultacie ułatwiły mi funkcjonowanie w obcym społeczeństwie, a ówczesne liczne i prężne polskie ośrodki i żona Polka sprawiły, że zachowałem swoją tożsamość i nie nastąpiło wykorzenienie. Pokrewne duchowości zapewniły rodzinną harmonię i godziwy rozwój. Nie musiałem też „pisać na Berdyczów”, bo mogłem wielokrotnie odwiedzić kraj lat dzieciennych i spotkać jeszcze niektórych pamiętanych ludzi.

JSG: Czy pamięć to istnienie, a niepamięć to lekarstwo na pamięć?

FŚ: Pamięć nazwałem w jednym z wierszy „glejtem na stare lata”. Tamże wzywam:

pielęgnujmy pamięć

skoro nic poza nią nie istnieje.

Bo w chwili próby nie możemy być sami

świat zapamiętany będzie cumą

zbawienną, zapisem wypełnionego...

JSG: Jest Pan mocno osadzony w literaturze i kulturze hiszpańskojęzycznej, włada Pan biegle językiem angielskim, zna Pan język niemiecki. A jednak językiem Pana poezji jest głównie język polski.

FŚ: Słyszy się opinię, że poezję pisze się w języku odebranym od matki, czyli w języku, który jest dla człowieka najbardziej intymny. Pisanie w obcym języku, angielskim czy hiszpańskim, właściwie nie wchodziło w grę. Próbowałem, ale to się nie udawało, raczej wmawiałem sobie, że coś się udało napisać, ale myślę, że to były nieudane próby. Jednak ten język matczyny, dla każdego jest podstawowy, zażądał swoich praw i wydał się najśluszniejszym. Dlaczego? Bo jak ja napiszę coś po polsku, myślę oczywiście o wierszu, to mam pewność, że to jest właśnie to, co napisać chciałem, nawet jeśli to trzeba poprawiać, wprowadzać pewne korekty.

Każdy inny język, w moim przypadku angielski czy hiszpański, wymagałby jeszcze człowieka, dla którego to jest język naturalny i który potrafiłby wyłapać wszystkie jego niuanse. To właśnie było powodem, że zostałem przy polskim. Był moment, kiedy wraz z kolegami w Londynie zastanawiałem się, czy nie przejść na język angielski.

JSG: Nestor pisarzy polskich, Zygmunt Nowakowski, ani przez chwilę nie zwątpił, że zwycięży język polski.

FŚ: Mimo, że widział, iż stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował: *Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności, nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.* I dodał na koniec: *A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.*

JSG: Dedykował Pan tom „Dotykanie świata” swojej żonie. Czy żona podróżując z Panem przez życie, podróżuje również przez tworzony przez Pana świat poezji?

FŚ: Żona, towarzyszy mi dzielnie od ponad 62 lat, wędrowaliśmy od Londynu przez Karaiby po Hawaje. Nie sposób negować jej zasadniczego udziału w dotykaniu świata. Wybieraliśmy wspólne wędrówki, względnie godziliśmy się na ofertę losu.



Florian Śmieja z żoną Zofią z Poniatowskich w 62 rocznicę ślubu
w lipcu 2016 r.

Tarnowscy z Dzikowa



Rezydencja Tarnowskich w Dzikowie. Elewacja południowa zamku w 1925 r. niedługo przed wybuchem pożaru Źródło:
Zamek Tarnowskich w Dzikowie, A. Janas, A. Wójcik, Tarnobrzeg 1994 .



Rezydencja Tarnowskich w Dzikowie. Zamek w 1927 r. po wybuchu pożaru. Źródło: Zamek Tarnowskich w Dzikowie, A.
Janas, A. Wójcik, Tarnobrzeg 1994 .

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Wierni Bogu, Ojczyźnie i Rodzinie, ufni w opiekę

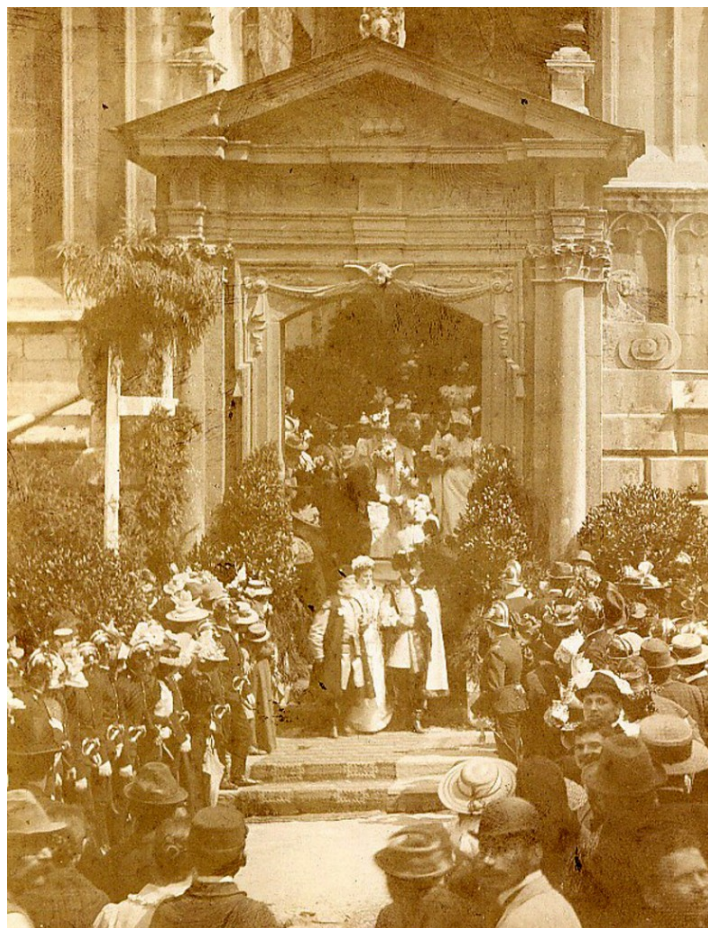
Dzieje polskich rodzin arystokratycznych to temat rzeka. Pokolenie, urodzone w pałacach i w wielkich latyfundiach, wychowane pośród unikatowych dzieł sztuki, dobrze pamięta okres dawnej świetności swoich rodzin. Ludzie ci musieli wyrzec się wszystkiego, co tworzyło ciągłość oraz wielusetletnią tradycję rodzinną i opuścić swoje siedziby, nie mogąc zabrać nawet pamiątek. Wyjechali na tułaczkę z przysłowiową jedną walizką (*walizka Róży Siemieńskiej, pokazana została na wystawie „Raj utracony, raj odzyskany” w Montrealu w 2006 r.*). Wielu z nich osiadło za granicą, aby rozpocząć historię rodziny od nowa, poza granicami kraju.

Artur Tarnowski (1903-1984). ostatni pan na Dzikowie był synem Zdzisława i Zofii z Potockich. Gruntownie wykształcony, pełnił, poza zajmowaniem się administracją Dzikowa, liczne funkcje publiczne, m.in. był posłem na Sejm Rzeczypospolitej. Jego żona Róża Tarnowska (1911 - 2005) była córką Maurycego Zamoyskiego, czołowego polityka II Rzeczypospolitej, m.in. ministra spraw zagranicznych. Artur Tarnowski zmobilizowany we wrześniu 1939 roku, 24 września dostał się do niewoli pod Zamościem. Jednak tego samego dnia uciekł i przedostając się lasami, 27 września dotarł do Dzikowa. Na zamku kwaterowali Niemcy, którzy ciężko chorej Róży Tarnowskiej i dzieciom zostawili kilka pokoi w skrzydle. Artura Tarnowskiego od razu

nie aresztowano, ale oświadczono mu, że gdyby uciekł natychmiast zostaną rozstrzelane żona i dzieci. 6 października Niemcy go wywieźli. Od tego czasu przebywał w oflagu. Róża Tarnowska musiała sama zarządzać olbrzymim majątkiem. Do tego cały czas pomagała żołnierzom podziemia. W 1944 roku wraz z czwórką małoletnich dzieci: Marią (12 lat), Janem (11 lat), Marcinem (9 lat) i Pawłem (7 lat) musiała opuścić Dzików. Artur Tarnowski, po wyzwoleniu z oflagu, wstąpił do I dywizji pancерnej gen. Maczka, w której starszy brat Artura, Jan, był adiutantem generała. Aby dołączyć do męża, Róża Tarnowska wraz z dziećmi wyjechała z Polski przez zieloną granicę. Spotkali się w Meppen w Niemczech. Po demobilizacji w 1947 roku cała rodzina przeniosła się do Brukseli, a w 1951 r. Artur i Róża Tarnowscy wraz z dziećmi wyemigrowali do Kanady i zamieszkali w Montrealu. Tak jak wielu przedstawicieli ich środowiska, wychowywani w skromności i poszanowaniu dla innych, przystosowali się do warunków na obcej ziemi i do samodzielnej walki o egzystencję, choć na początku było im bardzo trudno. Przechodzili taką samą drogę, jak wielu innych emigrantów. Ale nie poddali się.



Artur i Róża hr Tarnowscy po ślubie, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.



Wyjście z Katedry na Wawelu po ślubie Zdzisława hr
Tarnowskiego i Zofii z hr Potockich, fot. arch. Marcina
Tarnowskiego.

Tarnowscy z Dzikowa herbu Leliwa mają w swoich szeregach wielu wybitnych przedstawicieli – słynnego hetmana Jana Tarnowskiego, historyka literatury polskiej i rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisława Tarnowskiego, czy poetę dramaturga i kompozytora – Władysława Tarnowskiego.

Zamek w Dzikowie został zbudowany w XV wieku, pełnił wówczas funkcje tylko wieży obronnej. W 1522 roku Dzików kupili Tarnowscy od rodziny Ossolińskich i powoli zaczęli go rozbudowywać. Rodzinna rezydencja Tarnowskich znajdowała się wówczas w Wielowci, która należała do nich od 1330 roku.

Gdy jednak w poł. XVII wieku Wielowieś została kompletnie spalona przez wojska szwedzkie, zamek w Dzikowie został obrany na rodowe gniazdo i przebudowany. W XVIII w. w Dzikowie odbyła się tzw. konferencja dzikowska związana w celu obrony tronu polskiego dla króla Stanisława Leszczyńskiego (1734). Jednak nie powiodło się utrzymanie tronu, a król musiał wyemigrować do Francji.

Kolejna przebudowa zamku miała miejsce po 1830 r. za czasów Jana Feliksa Tarnowskiego. Powstał pałac w stylu neogotyckim według projektu architekta Franciszka Marii Lanciego. Zmianom poddano także system zamkowych fortyfikacji, zasypano część fos i utworzono park z romantycznymi mostkami. Całość otaczało żelazne ogrodzenie.



Artur i Róża hr Tarnowscy z paziami, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Ten piękny obiekt został w dużej części zniszczony podczas pożaru, w 1927 roku. W ratowaniu cennych zbiorów i pamiątek brała udział pod kierownictwem Dr. Marczaka ludność z okolicy oraz młodzież z pobliskiej szkoły. Niestety, mimo specjalnych konstrukcji zabezpieczających zawalił się ogniotrwały sufit w Wielkiej Sali i zabił tam dziewięciu bohatersko ratujących zbiory. W 1931 r. pałac odbudowano, ale nadano mu już inny wygląd.

Pracami kierował Wacław Krzyżanowski, który zaproponował przebudowę w stylu wczesnobarokowym.

Podczas II wojny światowej zamek nie uległ zniszczeniu, ale po wojnie, w 1945 roku został skonfiskowany wraz z całym majątkiem przez ówczesne władze. Utworzono w nim istniejącą do niedawna szkołę techniczną, a kaplica zamkowa służyła za zwykłą salę lekcyjną. W 2001 r. przywrócono kaplicy jej dawną funkcję i została oddana pod opiekę oo. Dominikanów.



Ślub Artura i Róży hr Tarnowskich. Jan hr Zamoyski i Andrzej hr Tarnowski w kontuszach, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Historia Dzikowskich Zbiorów

Właściciele dóbr – Jan Feliks Tarnowski, senator Królestwa Polskiego (wychowany w atmosferze Sejmu Czteroletniego przez dziadka Stanisława Małachowskiego) i jego żona Waleria ze Stroynowskich, w tragicznym dla Polski 1830 r., postanowili przenieść się na stałe z Warszawy do Dzikowa. I tu chcieli stworzyć kolekcję pamiątek narodowych. W odnowionej siedzibie Tarnowscy zgromadzili wspaniałe zbiory. W XIX w. było tu 250 obrazów, m.in. Tycjana, Rubensa, Rembrandta, Van Dycka Malczewskiego, Matejki. Kolekcję uzupełniał zbiór miniatur Vincentego Lesseur oraz szereg obrazów staropolskich i portretów rodzinnych, wykonanych przez malarzy polskich z tej epoki. Archiwum i biblioteka, gdzie znajdowały się ważne dokumenty, dotyczące historii Polski i rodziny oraz wartościowe starodruki i rękopisy sprawiały, że zbiory Dzikowskie były jednymi z najciekawszych i najpiękniejszych w Polsce. To właśnie w Dzikowie przechowywano najstarszy rękopis „Kroniki Polskiej” Galla Anonima, pierwszy odpis Bogurodzicy, oryginał „Kronik” Wincentego Kadłubka i Statutów Wiślickich czy rękopis „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza.

Jeszcze przed I wojną światową słynna stała się sprawa obrazu Rembrandta „Lisowczyk”, jednego z najcenniejszych obrazów w Polsce, który znajdował się w dzikowskiej kolekcji Tarnowskich, sprzedanego i wywieziony do Nowego Jorku w 1910 r. Pisze o

tym Artur hr Tarnowski w artykule „*Prawda o zbiorach dzikowskich*”, opublikowanym w „Kulturze paryskiej” w 1959 roku.

...Aby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego podjęta została przez rodzinę taka decyzja, trzeba pamiętać, że żyli oni wtedy w innej epoce. Żyli pod zaborami. Tendencją narodową było wtedy nie sprzedanie ani piędzi ziemi obcemu, a jeżeli możliwe, wykupywanie jej, by w ręce polskie znowu wróciła. Wtedy ziemia w rękach polskich była problemem znacznie ważniejszym, niż posiadanie nawet najcenniejszego płótna Rembrandta. To był punkt widzenia narodowy, nie wszystkich może, ale bardzo wielu Polaków.

Grał tu także sentyment rodzinny do „puszczy”, która przez długie wieki, w części co prawda, do rodziny należała, a utracona została w konsekwencji przejęcia jej po rozbiorach przez zaborcze władze austriackie.

Tak więc „Lisowczyk” został sprzedany, aby pieniądze można było przeznaczyć na wykup okolicznych ziem, które mimo, że nie leżały w zaborze pruskim, dotknięte były germanizacją.

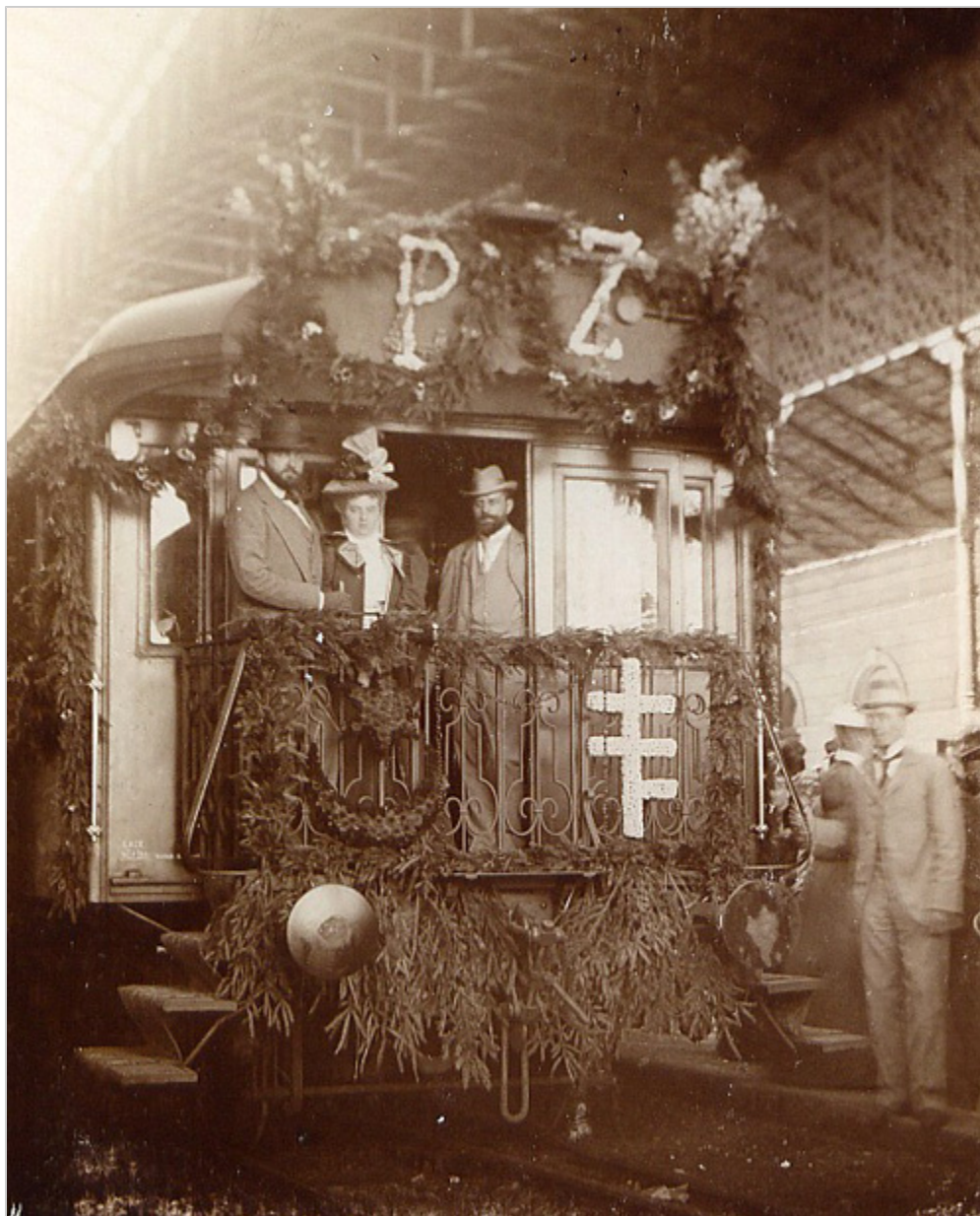
Dziś po pięćdziesięciu przeszło latach, może inaczej sprawa

wygląda. – pisze dalej hr Tarnowski. – Ziemia nadal jest w Polsce i polska. Nie ma żadnych właścicieli, ani Tarnowskich od 18 pokoleń osiadłych w Wielowsi, a od 13 w Dzikowie. (...) Lisowczyka oglądać można u Frick'a w New Yorku, a autoportret Rembrandta, drugi obraz tego malarza ze zbiorów dzikowskich i inne cenne pamiątki zostawione przeze mnie w polskim Lwowie – gdzie są? – Czy do Polski wrócą? – przyszłość pokaże.

Artur Tarnowski w artykule opisuje też losy innych dzieł sztuki.

W Ameryce, poza Rembrandtem, znajduje się także inne dzieło sztuki, nabyte przez Jana Feliksa i Walerię Tarnowskich. (...) Chodzi tu o wielkich rozmiarów rzeźbę dłuta Canovy, przedstawiającą „Perseusza”. Rzeźba ta kupiona od Canovy, przewieziona została morzem do Odessy, skąd wołami dociągnięta do Horochowa. Tam ustawiona, po kilku latach swoim ciężarem spowodowała pęknięcie murów pałacu, wobec tego zdecydowano ją sprzedać i do Dzikowa, do którego była przeznaczona nie przewozić. „Perseusz” stał następnie przez szereg lat u Potockich w Wilanowie, w nadziei, że się znajdzie nań kupiec w Polsce. Dziedzicem jej był Juliusz Tarnowski, najmłodszy brat mojego dziada i prof. Stanisława. Gdy Juliusz zginął w Powstaniu 1863, rzeźba przeszła na braci. Oni, po wyjściu Stanisława z kilkuletniego

więzienia w Ołomuńcu za współudział w Powstaniu, sprzedali ją w Wiedniu. Profesor Tarnowski za pieniądze uzyskane z tej sprzedaży nabył coś, co dla każdego Polaka jest stokroć cenniejsze niż rzeźba słynnego Canovy. Nabył od syna Mickiewicza, który był w Paryżu w poważnych trudnościach finansowych, rękopis „Pana Tadeusza”. W kilkadziesiąt lat później, gdy z kolei Hieronim, syn prof. Stanisława, potrzebował gotówki, ojciec mój (Zdzisław – przyp. red.) odkupił „Pana Tadeusza” do zbiorów dzikowskich, gdzie był, aż do wybuchu wojny, troskliwą opieką otaczany.



Wjazd pociągiem do Dzikowa, fot. arch.
Marcina Tarnowskiego.

Za czasów Zdzisława Tarnowskiego i jego żony Zofii z Potockich (rodziców Artura hr Tarnowskiego) cenne zbiory dzikowskie, nadal się powiększały.

(...) nadmienię teraz – pisze dalej w artykule dla „Kultury paryskiej” Artur Tarnowski – że do zbiorów dzikowskich przybyły za życia mojego ojca i inne cenne przedmioty. Został nabyty w Wiedniu piękny portret młodzieńca, malowany przez Joast Sustermans’a, którego reprodukcja, figurująca na str. 81 książki pióra pani Grottowej, każe przypuszczać, że został nabyty przez Jana Feliksa i Walerię Tarnowskich. Od J. Borkowskiego nabył mój ojciec także „Stado Hetmańskie”, chyba najpiękniejszy obraz pędzla Juliusza Kossaka. Nie wiem skąd, ale przybyły też dwa olejne szkice Matejki. Zawisło też na ścianach wiele portretów i obrazów malowanych przez J. Malczewskiego, Juliusza i Wojciecha Kossaków, Pochwalskiego, (miniatury) Dąbrowskiej i innych polskich malarzy. Nie na tym koniec. Śp. Matka moja bardzo interesowała się biblioteką dzikowską. Całe swoje życie nabywała stare, ale i współczesne książki, by uzupełnić bibliotekę dzikowską. Czy są na to dowody w aktach dzikowskich, które znajdują się obecnie na Wawelu, nie wiem. Pewnie ich nie ma, bo matka moja książki nabywała głównie przez księgarnie Krzyżanowskiego, oraz Gebethnera i Wolfa w Krakowie, a kupując płaciła zaraz gotówką.

O kolekcji dzikowskiej dalej pisze Artur Tarnowski:

Pożar bardzo wiele zniszczył, ale to, co zostało, pieczołowicie znowu skatalogowano. Książki i archiwum opracował dr Marczak. Obrazy wszystkie były spisane, a spis uzupełniony fotografiami., które wykonał fotograf z Krakowa, o ile mnie pamięć nie myli, specjalista z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. Może więc tam uchowały się fotografie obrazów dzikowskich, jeżeli katalog dzikowski nie istnieje.

W czasie wojny bezcenne skarby kultury narodowej i europejskiej zostały przez Artura Tarnowskiego starannie ukryte w Dzikowie, a także zdeponowane w Muzeum Narodowym w Warszawie i Ossolineum we Lwowie.

Gdy wiosną 1939 roku sytuacja międzynarodowa stała się coraz bardziej naprężona – pisze Artur Tarnowski – ustaliłem ze śp. Dr Michałem Marczakiem, ostatnim bibliotekarzem dzikowskim, co i jak należy przygotować na ewentualność wojny. (...) Mobilizacja została ogłoszona. Włożyłem mundur i wyjechałem. Nowe obowiązki wojskowe nie pozwalały mi naturalnie działać w Dzikowie. Ósmego września wieczorem dostałem rozkazy do przekazania w Rzeszowie – Stalowej Woli i w Baranowie, co pozwoliło mi na wstąpienie do Dzikowa w ciągu dnia 9-go września. Byłem w domu zaledwie kilkanaście godzin, ale wystarczyło mi to, by

spowodować załadowanie na furmanki folwarczne wybranych uprzednio z dr Marczakiem najcenniejszych archiwaliów, ksiąg i obrazów i wywiezienie ich na odlegle od dróg komunikacyjnych leśnictwo. (...) Wiedząc, że mam jechać przez Lwów, by zameldować się w moim dowództwie zabrałem ze sobą do samochodu szereg najcenniejszych przedmiotów, a mianowicie: autoportret Rembrandta, portret Izabeli Austriackiej, żony Krystiana króla duńskiego, malowany przez Jana Gossart, zwanego Mabuse, (...) całą kolekcję miniatur dzikowskich. Poza tym do tej samej skrzyni zostały przeze mnie włożone: „Kronika Kadłubka”, kopia z XV wieku Statutu Wiślickiego, znana pod nazwą „Kodeksu dzikowskiego”, także rękopis „Pana Tadeusza” oraz inne cenne przedmioty jak: karabela i buława Hetmana Tarnowskiego, pergamin podpisany przez Karola V, przyznający Hetmanowi tytuł comesa, tabakierka marszałka S. Małachowskiego, ofiarowana mu przez Fryderyka Augusta z jego miniaturą oraz zegarek, który miał przy sobie ks. Józef, gdy utonął w Elsterze.

Wszystkie te wymienione przedmioty przewiozłem do Lwowa i w nocy z 10-go na 11-go września, nie mogąc samemu złożyć ich w Ossolineum, powierzyłem przyjacielowi rodziny od trzech pokoleń, śp. Mecenasowi M. Bilikowi.

Inną część zbiorów zabezpieczyła Róża Tarnowska, gdy sztab niemiecki opuścił zamek. Udało się zamurować w suchych piwnicach pod zamkiem i w grobowcach pod kościołem najcenniejsze części archiwum i biblioteki. Obrazy i inne zabytki zostały ściągnięte z leśnictwa i przekazane w depozyt do Muzeum Narodowego w Krakowie.

Z notatki, która ukazała się we „Frankfurter Zeitung” w styczniu 1940 r. Artur Tarnowski domyślił się, że skrzynie zdeponowane u mecenasa Bilika we Lwowie, zostały przekazane do Ossolineum, a tam zostały znalezione przez bolszewików.

Pamiętam, że do żony zaraz napisałem kartkę jeniecką mniej więcej tej treści: Pan Tadeusz zdrowy, jest u Ossolińskich, zacny Mikołaj dobrze się nim opiekował, oby dalej Panu Tadeuszowi zdrowie dopisywało. – pisze Artur Tarnowski w artykule. – Od tej pory mało na ten temat z żoną korespondowałem. Dopiero po 22 czerwca 1941 roku, gdy wybuchła wojna niemiecko-rosyjska, zacząłem pisać listy, w którym pełno było o Tadeuszu, Kadłubku, Wiślickim, Izabeli (nazwiska Rembrandta nie używałem, bojąc się by cenzura nie rozszyfrowała), prosząc by jechała do nich, bądź starała się o ich powrót. Rezultatem starań żony, po zajęciu Lwowa, był powrót miniatur do Dzikowa. Innych rzeczy nie udało się wydostać z Ossolineum. (...) Tak wyglądały sprawy do 3-go

sierpnia 1944 roku, to jest do chwili wkroczenia do Dzikowa wojsk Związku Sowieckiego. Żona moja z dziećmi zmuszona była opuścić Dzików. Zabrać z sobą nic nie mogła.

Zbiorami opiekował się wówczas dr Michał Marczak, ale

ciężki musiał być bardzo ten ostatni okres w Dzikowie dla dr Marcza. Wchodzące wojska sowieckie w jego oczach robiły zniszczenia. Np. siodło i rząd Hetmana Tarnowskiego zniszczone zostały zupełnie. Gdy pierwszy impet minął, zniszczeń więcej nie było, ale za to ustalające się pomału nowe władze w mieście Tarnobrzegu brały co im było potrzebne z mebli do urządzania biur i mieszkań. Kto zajmował się, względnie kto opiekował się pozostawionym w Dzikowie zbiorami po śmierci dr Marcza – nie wiem.

Po wojnie zbiory przejęły różne instytucje państwowe, do zamku w Łańcucie trafiło ok. 500 eksponatów z Dzikowa, a do Muzeum w Rzeszowie ponad 80. Znikoma tylko część zdeponowana została na zachodzie, sporo jednak zaginęło bez śladu wraz z zagarniętymi przez Sowieców wschodnimi terenami Polski.



Zdzisław hr Tarnowski (ojciec) w kontuszu, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.



Artur hr Tarnowski (syn) w kontuszu, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Jeszcze przed wojną powstał pomysł, aby stworzyć Muzeum i Bibliotekę Tarnowskich, instytucję podobną do Muzeum Czartoryskich w Krakowie, czy Ossolineum we Lwowie, aby zbiory służyły większej części społeczeństwa, niż gdy tworzą część zbiorów prywatnych. Muzeum takie miałoby powstać w dużym mieście, będącym centrum kultury. Jednak wojna przerwała plany. Po wojnie natomiast Artur Tarnowski pragnął zrealizować ten pomysł i przez wiele lat starał się, aby scalić zbiory dzikowskie i zgromadzić je w jednym miejscu w Polsce. Korespondował z prof. Stanisławem Lorentzem i z innymi

osobami, które mogłyby podjąć stosowne decyzje.

To co zostało w moim ręku – pisał – tj. zaledwie miniatury, z radością ofiarowałbym Polsce, gdyby połączone zostały razem z resztą zbiorów dzikowskich i suskich rozproszonych po muzeach, bibliotekach i archiwach polskich i gdyby utworzona z nich została jedna całość np. w Krakowie w Muzeum Narodowym i nazwane po wieczne czasy zbiorami Tarnowskich z Dzikowa i Sucheja.

Wszystkie te zabiegi były niestety, bezskuteczne. W 1975 r. Artur Tarnowski stracił wzrok i musiał zaprzestać walki o scalenie zbiorów dzikowskich. Tak więc 108 miniatur z przedwojennego Dzikowa, przywiezionych do Belgii przez jego siostrę, Zofię Potocką, zdecydował się podarować Muzeum Polskiemu w Rapperswilu, w Szwajcarii.

Artur Tarnowski zmarł 19 grudnia 1984 r. w Montrealu. Spadkobiercą stała się wówczas jego żona Róża z Zamoyskich Tarnowska, którą we wszelkich prawnych czynnościach reprezentował najstarszy syn Jan A. Tarnowski. Obydwoje przejęli więc misję odzyskania i scalenia dzikowskich zbiorów. Po zmianach ustrojowych w Polsce w 1990 roku wydawało się, że nadszedł czas, gdy wieloletnia walka o zbiory będzie mogła się zakończyć. Rozmowy Jana A. Tarnowskiego w muzeach,

archiwach i bibliotekach doprowadziły do tego, że zostały podpisane umowy depozytowe z wieloma instytucjami (Ossolineum we Wrocławiu - rękopis „Pana Tadeusza”, Biblioteka Narodowa w Warszawie - 4 tysiące starodruków, Biblioteka Jagiellońska - rękopisy dzikowskie). Z podobnymi umowami depozytowymi z Muzeum w Łańcucie oraz w Rzeszowie sprawa okazuje się trudniejsza i decyzje od wielu lat są rozstrzygane sądownie.

W 2003 roku Minister Kultury wyraził zgodę na utworzenie w zamku dzikowskim muzeum. Od 2006 do 2011 trwały prace remontowo-budowlane w zamku, a odzyskiwane eksponaty powoli wracały do nowego Muzeum Tarnowskich w Dzikowie.

Po śmierci matki, w 2005 roku, Jan A. Tarnowski dalej walczył o scalenie wszystkich zbiorów w Dzikowie.



In 1410 Jan Tarnowski from Tarnow at the head of his cavalry regiment at the battle of Grunwald fought and won by the Polish royal army against the Teutonic knights

Chorągwie Jana i Spytka Tarnowskich pod Grundwaldem w 1410 r.

Zjazd rodzinny i Związek Tarnowskich

Druga Wojna Światowa rozproszyła rodzinę Tarnowskich po całym świecie. W latach 90. po zmianach ustrojowych, kiedy można już było przyjeżdżać do Polski bez ograniczeń, coraz częstsze się stały wielkie zjazdy rodzinne. W 1996 roku, dzięki inicjatywie Jana A, Tarnowskiego, zwanego „Głową” ponad stu członków rodziny Tarnowskich po raz pierwszy od czasów wojny

zjechało się do Dzikowa. Wtedy powstał pomysł utworzenia rodzinnego stowarzyszenia czyli Związku Rodu Tarnowskich. Projekt stworzenia związku powierzono mieszkającemu w Ottawie najmłodszemu synowi Artura Tarnowskiego – Pawłowi. Związek został oficjalnie zarejestrowany w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie w 1998 r. Paweł Tarnowski pełnił funkcję prezesa. Jego brat, średni syn Artura Tarnowskiego – Marcin, zajmował się genealogią.

Powstała strona internetowa: www.rod tarnowski.com, pomaga w utrwalaniu i nawiązywaniu kontaktów rodzinnych. Głównymi celami Związku, o czym informuje statut, są m.in.: *utrzymywanie i wzmacnianie więzów rodzinnych, zachowywanie i przekazywanie następnym pokoleniom tradycji, dziedzictwa kulturowego oraz wartości, którym Ród Tarnowskich był zawsze wierny, popieranie i organizowanie działalności dla dobra Rodziny i Polski, pomoc członkom Rodziny w potrzebie, popieranie, stosownie do możliwości finansowych jak i wszelkich innych, wydawania pamiątek rodzinnych o wartości kulturalnej lub historycznej, opiekowanie się dziedzictwem kulturowym, historycznym oraz artystycznym Rodu Tarnowskich herbu Leliwa.*

Związek wydaje Biuletyn, w którym zamieszczane są zarówno informacje historyczno-genealogiczne, jak i współczesne oraz informacje o ważnych wydarzeniach rodzinnych i działalności

Związku. Związek otacza opieką młodych przedstawicieli rodu, zdolnym funduje stypendia, organizuje wyjazdy zagraniczne, pobyty w różnych miejscach w celu poznania się, a także opiekuje się seniorami, którzy potrzebują pomocy.

Powodzenie pierwszego zjazdu i 4 lata później następnym razem zbliżenie się znów członków rodziny, potwierdziło że lata wojny, komuny i emigracji nie zniszczyły naszego ducha, i że tak jak dawniej nasi przodkowie, my też, gdziekolwiek żyjemy, gotowi jesteśmy sięgnąć ponownie do gwiazd..

Marcin J. Tarnowski



Zjazd rodu Tarnowskich w Dzikowie w 2003 roku.

Opowieść Marcina Tarnowskiego (1935-2009) o swoim życiu na emigracji, rodzinie i rodzinnych wartościach ukaze się w środę, 11 stycznia 2017 r.

Medgidia, miasto u kresu: Ćwiczenia z pamięci.

Barbara Lekarczyk-Cisek



Proza Cristiana Teodorescu ma urodę wschodnich miniatur - precyzyjnie zarysowanych mikroopowieści, w których za anegdotą skrywa się filozoficzna refleksja. Jako całość są one jednak ćwiczeniami z pamięci, którą w latach pięćdziesiątych skutecznie zacierano. Podobnie jak w Polsce.

Żebracza apokalipsa

Teodorescu przedstawia świat małego miasteczka, które dotyka apokalipsa - wojenna, ale także apokalipsa dwóch totalitaryzmów. Przedstawia ją w jednym z opowiadań na swój specyficzny sposób. Otóż opowiada o dwóch dworcowych żebrakach: Kulawym Prztyczku i ślepym paralityku Marcelu, którzy podzielili między siebie rewir dworca. Wszystko szło zgodnie z umową, kiedy pewnego dnia pojawił się trzeci - „żebrak apokalipsy” - dobrze zbudowany mężczyzna, który podpierając się kulą, defilował wzdłuż wagonów, informując pasażerów o nadchodzącym końcu świata:

Koniec świata puka do drzwi! Ale On, Ten, któremu nie możemy ucałować stóp, aby dostąpić zbawienia, daje wam jeszcze szansę okazania potrzebującym miłosierdzia, mimo wszystkich waszych grzechów!

Dwaj żebracy poczuli się zagrożeni, toteż *spuścili przybłędzie manto, aby zrozumiał, że koniec świata może dla niego nadejść znacznie wcześniej niż dla reszty ludzi*. Jednak nie omieszkali wykorzystać pomysłu i od tej pory także używali argumentu nadchodzącej apokalipsy - każdy na swój sposób.

We wstępie do polskiego wydania książki autor wyjaśnia:

W ciągu zaledwie dekady, którą rozpoczął rok 1938, w Rumunii zmieniło się tak wiele, że nawet świadkowie owych częstokroć katastrofalnych zmian przestali wierzyć, że wydarzyły się one naprawdę, a zaczęli myśleć, że był to jakiś senny koszmar. Wielu z tych, którzy marzyli o powrocie do normalności, trafiło do więzień. Aby dawne czasy zatarły się w zbiorowej pamięci narodu, począwszy od lat pięćdziesiątych, z rozkazu kolejnych władz, historia Rumunii była wielokrotnie pisana na nowo.

Teodorescu przywraca więc pamięć dotyczącą nie tylko narodu, ale czyni to także w odniesieniu do swoich dziadków i świata, w którym dane im było żyć.

Medgidia - rumuńskie Makondo

Skojarzenie Medgidii z fikcyjnym Macondo ze „Stu lat samotności” Marqueza przychodzi na myśl, gdy czyta się te wszystkie opowieści, ponieważ – choć nieodległe w czasie – wydają się jednak należeć już do sfery pewnej mitologii. Takiego miasteczka bowiem, jakie poznajemy na początku tej opowieści, już nie ma. Nie żyją bohaterowie owych historii, a odtworzone realia zmieniły się nie do poznania. Tętniące życiem miasteczko, zamieszkałe przez Rumunów, Żydów, Ormian, Turków, przypomina trochę mityczną Bukowinę.

Oprócz historii swego dziadka – Stefana Teodorescu, zwanego Stefankiem, właściciela dworcowej restauracji, pisarz snuje barwne opowieści o innych mieszkańcach Medgidii: jubilerze Marcelu, który terminował u paryskich mistrzów i który zmuszony został do opuszczenia miasta na fali antysemityzmu, co potem okazało się zbawienne, zważywszy wszystko, co działo się w Europie z Żydami podczas II wojny. Marcel wyjechał do Nowego Jorku, gdzie wkrótce został milionerem. Innym bohaterem jest imam Hassan – prawdziwy mędrzec, którego rady zasięgają imamowie z całej Turcji i który grywa w szachy ze Stefankiem i z majorem Scipionem – komendantem pułku, mimo że początkowo unika go „z racji jego mało finezyjnego, koszarowego usposobienia”. Śledzimy także zmienne losy bezkompromisowego majora i jego skrywanej, ale wielkiej i odwzajemnionej miłości do żydowskiej lekarki Leili. W miasteczku mieszka nawet jeden Rosjanin – Grigorij, który zajmuje się kowalstwem, bije swoją żonę i ukrywa przeszłość.

Każdy z tych bohaterów to odrębna opowieść, a właściwie cykl miniaturowych opowieści, które wszakże stanowią odrębne, zamknięte dramaturgicznie historie. Jeśli jednak uważnie śledzimy losy bohaterów – a są one tak fascynująco przedstawione, że nie sposób się od nich oderwać – zauważymy, jak się one zmieniają na skutek historycznych wydarzeń. Niektórych historia miażdży bezlitośnie, inni wychodzą z doświadczenia totalitaryzmu (zwłaszcza komunizmu)

przemienieni. Ale są i tacy, którzy pozostają jakby nietknięci przez okrucieństwa losu – jak piękna lekarka Leila, mimo że jest Żydówką, osobą niezwykle prawą i bezkompromisową. Ona zresztą także na koniec emigruje. Miasteczko, zarządzane przez przedstawicieli komunistycznego reżimu, szarzeje, brzydnie i przestaje być tętniącym życiem, wielokulturowym tygłem.

Śmiercionośne papryczki Januszka

Teodorescu uwodzi czytelnika nie tylko pasjonującymi opowieściami. Istotne jest także to, że owe cudowne miniatury charakteryzuje specyficzny humor i wszechobecność ironii losu, ale także ironii historii. Dzięki temu każda anegdota zyskuje drugie dno.

Mnie najbardziej urzekła miłosna historia jednej z głównych postaci – kelnera Januszka. Otóż restauracja Stefanka Teodorescu zawdzięczała swoje powodzenie nie tylko atmosferze, którą stwarzał właściciel, ale przede wszystkim obecności kelnera, który przed wojną pracował w Orient Expressie, znał języki i świetnie opanował sztukę przygotowywania i podawania potraw. Marzył o tym, aby otworzyć własną restaurację w Bukareszcie, a może nawet kabaret, jednak ciągle brakowało mu na to pieniędzy.

Tymczasem ani się obejrzał, kiedy „stuknęła” mu czterdziestka. Pozostawał w stanie kawalerskim, ponieważ „jako wielbiciel kobiet nie ryzykowałby zakochania się w którejś z nich”. I oto pewnego dnia spojrzął w oczy młodej dziewczynie, zatrudnionej w kasie na stacji i... stało się. Żeby móc znowu popatrzeć jej w oczy kupił niepotrzebny mu bilet, a potem starał się zawsze być w pobliżu niej i choć robił to nader dyskretnie, dziewczyna zauważyła jego starania. I choć nie było to w zwyczaju, ale obyczaje powoli zaczęły się zmieniać – pozwoliła mu odprowadzać się do domu, a wreszcie gotowa była za niego wyjść. Kiedy jednak przyszły teść pogodził się z myślą, że córka wyjdzie za mąż za starszego od niej o dwadzieścia lat mężczyznę, Januszek postanowił coś udowodnić kolejarzowi, który stroił sobie żarty z jego związku. Założyli się, że jeżeli Jan zje pięćdziesiąt ostrych papryczek, kolejarz wyjedzie z miasta. Kelner był tak szczęśliwy, że gotów był zjeść dwa razy tyle. Zakład wygrał, po czym... wyzionął ducha.

Teodorescu opisuje nie tylko śmiertelne papryczki. Píše o rewizjach, fałszowanych wyborach, przesłuchaniach, bezprawnym zabieraniu majątków, zawsze jednak w kontekście ludzkich losów, bohaterów, których – dodajmy – zdążyliśmy już poznać i jakoś się do nich przywiązać. Zawsze towarzyszy temu dyskretny humor, niekiedy czarny, jak w opowiadaniu „Kupiecki kadysz”, w którym inny bohater – Żyd Haiks traci cały towar i majątek, a nawet mieszkanie, ale nie traci poczucia humoru,

tylko postanawia porozmawiać ze Stefankiem o kadisz – modlitwie za umarłych, którą powinno się nad nim zaśpiewać trzykrotnie.

Wielowątkową powieść Cristiana Teodorescu można czytać na różne sposoby. Sam autor, z właściwym sobie poczuciem humoru, sugeruje, aby tak właśnie czynić:

... mogą Państwo rozpocząć lekturę w dowolnym miejscu. Najbardziej niecierpliwi mogą czytać od końca do początku. Amatorzy powieści o szybkiej akcji mogą zacząć lekturę od początku i przeskakiwać przez tak zwane rozdziały – wypełniacze, natomiast ci z Państwa, którzy chcą poznać powieść jak powieść, powinni ją przeczytać od początku do końca, nawet jeśli składa się ona z ponad setki opowiadań.

Powieść „Medgidia, miasto u kresu” ukazała się nakładem Wydawnictwa Amaltea, w przekładzie Radosławy Janowskiej-Lascar.

Wywiad z Cristianem Teodorescu ukaze się na Culture Avenue we wtorek, 10 stycznia 2017 r.

<http://kulturaonline.pl/>

Kalendarz staropolski



Biblioteka Działyńskich w Kórniku.

Maria Wichowa

O kalendarzu

Kalendarz, który czasem swe wyznacza biegi,

części roku wymierza, gwiazd liczy szeregi,

i który w swoich wszystko granicach osadza,

niby Feniks z popiołów, co rok się odradza.

Ciągłym idąc porządkiem, od roku do roku,

bada się z gwiazd obrotów nowego wyroku,
co się dźiać na powietrzu ma, wczśnie znać daje,
powodzie, grady, grzmoty, wróżby, urodzaje,
któremu czy kto wierzy, czyli jawnie przeczy
zarówno zwykł przyjmować te obydwie rzeczy,
chce tylko być użytym w swej każdymu porze,
wszak służy prostym, możnym, w chacie i na dworze.

(Kalendarz Polski i Ruski na Rok Pański
1878)

Wyraz *kalendarz* pochodzi od łac. *calendarium* (spis dni w roku z podziałem na miesiące). Zaś słowo *calendae* oznaczające pierwszy dzień miesiąca dało podstawę nazwy gatunku literackiego. Istniało także określenie *fasti*, pojawia się ono jako tytuł dzieła Owidiusza, zawierającego kalendarz mitologiczny. W języku potocznym słowo *kalendarz* oznaczało po prostu książkę zawierającą wykaz dni, miesięcy, świąt przypadających w ciągu określonego roku, sporządzony według prawa lub zwyczajowo

obowiązującego systemu rachuby czasu.

Kalendarz był książką o charakterze użytkowym, praktycznym. W dobie starożytnej w kalendarzowych spisach dni notowane były dni urodzin cesarzy, zebrań senatorów, wykazy wyższych urzędników rzymskich, spisy świąt, uroczystości, ważne fakty historyczne. Także w wiekach średnich kalendarze układane przez chrześcijańskich duchownych, oprócz wyliczonych z wieloletnim wyprzedzeniem terminów świąt wielkanocnych zawierały różne wiadomości użyteczne i praktyczne, np. katalogi świętych, ich żywoty, z biegiem czasu dołączono informacje z życia Kościoła i ważne wiadomości państwowe. Najstarszy zaś kalendarz i zarazem najstarszy druk, który ukazał się na ziemiach polskich to *Almanach* na rok 1474, w języku łacińskim. Wyszedł w tłoczni Kaspra Straubego w Krakowie, prawdopodobnie w końcu 1473 r. W początku XVI w. pojawiły się tego typu druki polskie książki te stały się jedną z najbardziej dostępnych postaci literatury popularnej i tuż po Biblii i elementarzu zajmowały poczesne miejsce w bibliotece przeciętnego szlacheckiego dworu.

Wraz z wynalezieniem druku kalendarz uległ silnemu przeobrażeniu i rozbudowaniu. Do rachuby czasu dołączono przepowiednie astrologiczne dotyczące urodzaju w nadchodzącym roku, zdrowia czy choroby, dni pomyślnych i feralnych, pokoju lub wojny, pogody, terminy prac gospodarskich

określane na podstawie położenia planet, nawet porady odnoszące się do terminów leczenia poprzez puszczenie krwi, strzyżenie włosów. Prognozyki astrologiczne cieszyły się wielką popularnością czytelników kalendarzy – najbardziej masowej książki rozpowszechnionej w dworach szlacheckich. Z biegiem czasu nastąpiły kolejne zmiany, rozszerzenie tematyki tych publikacji. Pojawiają się informacje historyczne, geograficzne i polityczne ujęte w postać wykładu popularnonaukowego, wreszcie kształtują się kalendarze „specjalistyczne”, np. kalendarz jezuicki, kalendarz polityczny, kalendarz gospodarski itp. W dobie bujnego rozkwitu tego typu publikacji w czasach saskich triumfy święcił kalendarz astrologiczno-progностyczny. O zawartości tych wydawnictw ulotnych, po roku zużytych i nieaktualnych, przynajmniej w części zawierającej rachubę czasu, informuje wiersz zamieszczony w *Kalendarzu Polskim i Ruskim na Rok Pański 1878*:



Karta tytułowa kalendarzyka krakowskiego z r.
1569.

Publikacje te, jako pierwsza masowa książka w Rzeczypospolitej szlacheckiej stanowią znakomity dokument kultury potocznej doby staropolskiej, w tym również kultury literackiej. „Bez kalendarzy ludzka społeczność obejść się nie może” czytamy w

Kalendarzu Austrofila Krakowskiego na rok 1772. Rzeczywiście kalendarz był książką podręczną, używaną prawie codziennie, szczególnie w XVII i w XVIII w. w Polsce odgrywał rolę przewodnika życiowego szlachty, a nawet magnatów i duchownych. Był także księgą mądrości dla mieszczan i chłopów, ważnym źródłem wiedzy o świecie dla czytelników. Dla nas dzisiaj, po wiekach jest cennym komunikatem o rzeczywistości, którą opisywał i utrzymywał.



Biblioteka Muzeum
Przypkowskich w
Jędrzejowie.

Kalendarze zawierały mnóstwo tekstów o charakterze użytkowym, np. przepisy kulinarne, recepty na domowe leki, porady lekarskie i weterynaryjne, porady kosmetyczne. Obok założeń praktycznych miały też cele ludyczne – dostarczanie czytelnikowi rozrywki, przede wszystkim rozrywki literackiej. Pojawiały się w kalendarzach zagadki, przysłowia, kalambury, paronomazje, wierszyki okolicznościowe, np. z powinszowaniami, panegiryki, utwory hagiograficzne, wiersze o tematyce historyczne, kilka odmian prognostyków, kolędy. Kolędy pojawiające się w kalendarzach bardzo różniły się od dzisiejszych pieśni bożonarodzeniowych. W dobie staropolskiej określano je jako kantyki, kantyczki, symfonie, rotuły, pieśni. Natomiast nazwa kolęda obejmowała wówczas utwory zawierające życzenia na Nowy Rok. Ten typ utworu reprezentuje *Kolęda na Nowe Lato* Jana Kochanowskiego, a podobnych wierszy drukowano bardzo dużo w omawianych periodykach. Wyraz „kolęda” w kalendarzach występował w jeszcze jednym znaczeniu, mianowicie jako książka – podarunek na Nowy Rok, o czym świadczy *Kolęda Warszawska*, wydawana przez Antoniego Wiśniewskiego od 1752 r. *Kolęda* podawała szereg najróżniejszych wiadomości o sprawach bieżących krajowych i zagranicznych, informacje o badaniach z zakresu fizyki, astronomii itp.

Autorzy kalendarzy informowali o wszelkiego rodzaju mirabiliach, gdyż był na te wiadomości olbrzymi popyt.

Zainteresowanie osobliwościami przyrody, niezwykłymi wydarzeniami, sensacjami, cudownościami, magią, astrologią było charakterystyczne dla kultury staropolskiej, stąd autorzy kalendarzy w obfitości dostarczali tej strawy duchowej czytelnikom, złąknionym ciekawostek, informacji o zjawiskach nadprzyrodzonych, trudnych do odgadnięcia przez ludzki umysł, np. odpowiedzi na pytania: skąd pochodzi przeraźliwe ciepło i ból gwałtowny w głowie, po długiej pracy rozumu?, czyli dobre wynikają skutki z natężonych prac rozumu? Wierzono, że „Małgorzata, żona hrabi Wierzbosława w krakowskim, jednym razem 36 synów powiła”. Czasem nabierano do owych osobliwości dystansu, przedstawiano je w formie literackiej zabawy, wydobywając na plan pierwszy elementy żartu, pokazywanie „świat na opak”.

Dziwy, dziwy, wielkie dziwy

Dom z małżeństwem nie swanliwy,

Bogacz nad ubóstwem tkliwy,

Krewny krewnemu życzliwy

Fanatyk nie podejrzliwy

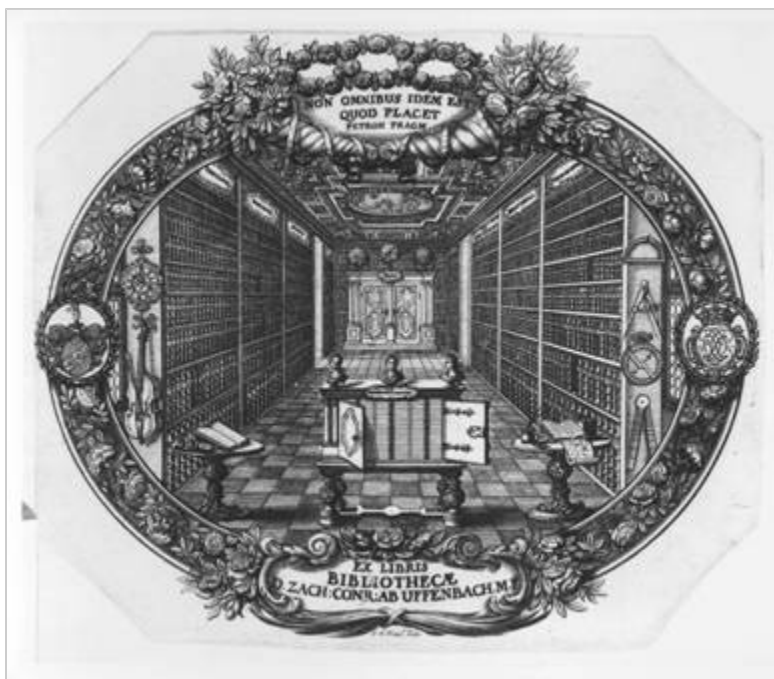
Mędrzec, bigot nie mrukliwy

Wierszopis nie uszczypliwy,
żołnierz trzeźwy, wstrzemięźliwy,
Kapłan o kościół gorliwy,
Mnich do pracy nie leniwy
Doktor o życie troskliwy,
Warchoł, pieniacz nie zdradliwy,
Szalbierz, koster a cnotliwy,
Próżniak, włóczęga pocziwy
Dziwy! dziwy! wielkie dziwy.

Przedstawiona wizja świata pochodzi z roku 1804, doszedł tu do głosu w żartobliwej formie krytycyzm oświeceniowy, a także tradycja sowizdrzalska. Wierszyk przypomina powszechnie znany *Wstęp do bajek* I. Krasickiego i kompozycji w wymowie.

Bardzo rozpowszechnione były kalendarze gospodarskie,

zawierające dużo praktycznych porad rolniczych, popularyzację najnowszej wiedzy z tej dziedziny. Pierwsze takie kalendarze powstały już w starożytności, prototyp kalendarza gospodarskiego pojawił się w dziele Palladiusza. Już w XVII w. wyodrębniła się ta grupa kalendarzy w Polsce. W 1616 r. powstało dzieło Teodora Zawackiego *Pamięć robót i dozoru gospodarskiego w każdym miesiącu*, w 1618 r. ogłosił Stanisław Słupski *Zabawy orackie*, stanowiące załączek kalendarza wierszowanego. W rękopisie pozostał kalendarz gospodarski Jana Ostroroga z przełomu XVI i XVII w., drukowany dopiero w r. 1876. Jest to dzieło w najwyższym stopniu oryginalne, owoc doświadczenia autora – wzorowego rolnika, magnata – właściciela pięknego majątku Komarno, w zakresie organizacji, dozoru i ekonomiki prac na folwarku. Zarazem to poradnik dla służby, dla potomków i dla sąsiadów. Prezentuje bardzo wysoki poziom wiedzy rolniczej. Na każdej stronicy dziełka rzuca się w oczy praktycyzm, utylitaryzm pisarza – doświadczonego gospodarza. Dzieło odznacza się wysokim poziomem literackim.



Wnętrze biblioteki z końca XVII w.,
miedzioryt wykonany przez
miedziorytnika augsburskiego
Johanna Ullricha Krausa, ze
zbiorów Biblioteki Narodowej w
Warszawie.

Kalendarz był zatem środkiem komunikacji społecznej, trybuną z której głoszono spopularyzowaną wiedzę naukową, np. rolniczą, historyczną, medyczną itp. Wykazuje on podobieństwo do sylw szlacheckich, które istotnie zawierały las rzeczy (*silva rerum*). Autorzy owych ksiąg zamieszczali teksty literackie obok porad praktycznych, mów sejmowych, pamflety, odpisy nowin, anegdoty, czasem niecenzuralne fraszki, a także wiersze polityczne, okolicznościowe, dokumenty itp. Kalendarz to swego

rodzaju drukowana sylwa, opracowywana corocznie, prezentująca myślenie potoczne. To także medium, środek przekazu kształtujący opinię publiczną, gusty czytelnicze, w tym i upodobania literackie, ale zarazem wychodzący naprzeciw oczekiwaniom przeciętnego odbiorcy. Gdy idzie o popularyzację wiedzy, dawne kalendarze dobrze się zasłużyły. Opracowywali je autorzy o dużych kompetencjach naukowych, często profesorowie wyższych uczelni. Od 1518 r. dominowały na rynku wydawniczym kalendarze krakowskie, ale od połowy XVII w. zaczęli ogłaszać swe dzieła również profesorowie Akademii Zamojskiej. W Zamościu w l. 1671-1699 drukował kalendarze Stanisław Niewieski, od 1690 do 1724 r. publikował je lekarz Akademii Tomasz Ormiński, zaś najpopularniejszym twórcą kalendarzy XVIII w. był Stanisław Duńczewski, doktor filozofii i prawa, profesor matematyki Akademii Zamojskiej. W tym samym czasie potęgą na kalendarzowym rynku wydawniczym była Akademia Krakowska, której profesorowie: Jan Józef Przyppkowski, Ignacy Paweł Michałowski, Antoni Mikołaj Krzanowski, Józef Grzegorz Więczkiewicz skutecznie konkurowali z profesorami zamojskimi. Obok kalendarzy akademickich drugą wielką grupę stanowiły kalendarze wydawane przez zgromadzenia zakonne, szczególnie przez jezuitów i pijarów.

Pod koniec XVIII stulecia kalendarze stały się narzędziami oświeceniowej edukacji społeczeństwa, popularyzacji

nowoczesnej wiedzy, skutecznym sposobem wydobywania z
zacofania umysłowego sarmackiej prowincji.

Gregory Peck.

Legenda Hollywood.



Gregory Peck, 1946 r., fot. Eileen Darby, Getty Images.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Gregorego Pecka (1916-2003), wielką legendę amerykańskiego kina i uwielbianego gwiazdora Hollywood, przez wiele lat uważano za najprzystojniejszego mężczyznę Ameryki. W 2000 roku aktor oficjalnie przeszedł na emeryturę. Ostatnie pożegnalne przedstawienie odbyło się na deskach Elsinore Theatre w Salem. Podczas dwugodzinnego spotkania zatytułowanego "Rozmowa z Gregorym Peckiem" aktor opowiadał anegdoty ze swojego filmowego życia i doskonale, choć po raz ostatni, bawił publiczność. A jeszcze tak niedawno twierdził, że co jakiś czas pojawiające się propozycje ról charakterystycznych, starych dziadków czy wujków absolutnie mu nie odpowiadają, bo właśnie teraz czuje się najbardziej świadomy i profesjonalny i nie ma zamiaru zejść ze sceny.

Z okazji 84-tej rocznicy urodzin córka Cecylia Peck, aktorka i producentka, zamówiła pełnometrażowy dokument o życiu swojego taty. Film Barbary Kopple, jednej z najślawniejszych amerykańskich dokumentalistek pt. "A conversation with Gregory Peck", stał się na Festiwalu w Cannes dużym wydarzeniem, gdyż wielki gwiazdor zwykle chronił swój prywatny wizerunek i starał się pozostać tylko ekranowym

idolem. Ciekawie było zobaczyć jak na przykład prezydent Francji Jacques Chirak, na prywatnym spotkaniu żartuje sobie, że Gregory Peck ubiegł go w rywalizacji o względy pięknej i młodej, francuskiej dziennikarki Veronique Passani. Film pokazuje życie gwiazdora z drugą żoną, Veronique, cieniem tajemnicy okrywając pierwszy związek z Gretą Kukkonenen, która całe życie darzyła go uczuciem i zachowała ciepłe wspomnienia.

Eldred Gregory Peck urodził się w 1916 roku w małej kalifornijskiej miejscowości La Jolla. Jego ojciec był właścicielem małej apteki. Uważał się jednak za pechowca, ponieważ nie zrealizował marzenia o studiowaniu medycyny. Pragnął więc by to marzenie spełnił jego syn. Ojciec Gregorego, też Gregory Peck, pochodził z irlandzko-angielskiej rodziny. Zanim wyjechał do Stanów Zjednoczonych, 8 lat spędził na farmie w Irlandii. Na emigracji za oceanem, bez wymarzonego wykształcenia i z praktyką jedynie na roli, nie umiał znaleźć sobie miejsca. Dochodziło więc w rodzinie do konfliktów. Mimo różnicy zdań, po latach jednak żyli z synem w przyjaźni. Gdy ojciec Gregorego miał już dobrze ponad 70 lat, jego ulubioną zabawą było jeżdżenie po stacjach benzynowych z prośbą o zatankowanie do pełna. Podawał kartę kredytową z wyraźnie widniejącym nazwiskiem: Gregory Peck i obserwował reakcje. Wszyscy pracownicy stacji przyglądali się mu z ogromnym zdziwieniem, a on z szelmowskim uśmiechem czym prędzej wyjaśniał – *Tak,*

jestem Gregory Peck, tylko coś z moim zdrowiem ostatnio nie najlepiej.

Gregory wspominał swoje dzieciństwo jako beztroski i sielankowy okres w życiu. Do szkoły odprowadzał go wierny pies Bud. Potem cierpliwie czekał przed sklepem spożywczym przy głównej ulicy, a z wybiciem godziny 15 wracał pod szkołę. Tę sielankę rozbił rozwód rodziców. Matka zabrała wówczas chłopca i wyjechała do rodzinnego miasteczka St. Luis. Gregory, żeby pomóc matce, chwycił się różnych prac, sprzedawał na ulicy gazety, rozwoził towar do sklepów. Bieda spowodowała jednak, że wrócili do La Jolla, matka znalazła pracę w Los Angeles, a chłopca wychowywała babcia. Gregorego posłano do katolickiej szkoły o profilu wojskowym. Pobudka o 5.30 rano, sami zakonnicy jako nauczyciele. Przez jakiś czas marzyło mu się nawet, żeby zostać księdzem. Kiedy jednak matka powtórnie wyszła za mąż, przyszły gwiazdor przeniósł się do ojca, a ten za wszelką cenę pragnął dla niego kariery medycznej. Gregory zapisał się więc do college'u w Berkeley z zamiarem studiowania medycyny. Miał też kontakt z matką i jej drugim mężem, który hodował konie i wystawiał je na wyścigach w San Francisco. Nauczył się wtedy dobrze jeździć konno, co tak mu się potem przydało w westernach. Na studiach po raz pierwszy zetknął się ze sceną, grając w amatorskich przedstawieniach. Wtedy doszedł do wniosku, że występowanie przed publicznością przywraca mu pewność siebie i postanowił zostać aktorem. Pierwszym krokiem

było pozbycie się znienawidzonego imienia Eldred, które matka podobno znalazła przed chrztem przypadkowo w książce telefonicznej. Następny krok, to postaranie się o dwuletnie stypendium umożliwiające solidny kurs aktorski i wyjazd do Neighborhood Playhouse w Nowym Jorku. – *Ojciec twierdził, że nigdy tak na prawdę nie chciał być aktorem* – wspominał jego syn Stephen – *robił to tylko dla pieniędzy*. Czy rzeczywiście aktorstwo było jego marzeniem? Na pewno wtedy tak mu się wydawało. W szkole okazało się, że jest bardzo utalentowany i pracowity. Jeśli miał do wypowiedzenia tylko kilka linijek i to na końcu spektaklu, uczył się tej kwestii bardzo długo, dopracowując szczegóły. Chciał być we wszystkim doskonały. Duży sukces odniósł w sztuce Emlyn Williams pt. “The Morning Star”. Tam go zauważono.

Był rok 1939. Młody Gregory Peck zaczynał studia w Nowym Jorku, wtedy gdy w Europie szykowano się do wojny. Przypadek zrzucił, że podczas zajęć gimnastycznych uszkodził sobie kręgosłup, w wyniku czego przez sześć miesięcy musiał zakładać metalowy kołnier. Gdy Ameryka przystąpiła do wojny, a wielcy gwiazdorzy pozakładali mundury, on został zwolniony ze służby wojskowej, a tym samym pozostał jednym z nielicznych młodych gwiazd na rynku. Wysoki (191 cm), ciemnowłosa, emanujący ciepłem i spokojem, z szelmowskim, tajemniczym uśmiechem wydawał się być godnym następcą hollywoodzkich amantów. Wprawdzie wielki producent David O. Selznick po próbnym

zdjęciach stwierdził, że początkujący aktor nie posiada ekranowej prezencji i w notatce oceniającej napisał – *Bardzo mi przykro, ale nie mam pojęcia co moglibyśmy zrobić z Gregorym Peckiem. To nie jest kandydat na amanta, on boi się własnego cienia.* Później jednak zmienił zdanie.



Gregory i Greta Peck z synami, 1947 r., fot. arch.
Grety Peck

W tym czasie odmieniło się też życie osobiste aktora. Już nie był sam, założył rodzinę i trzeba było pomyśleć o jej utrzymaniu. Greta Eine Matilda Kukkonen (1911 – 2008), pochodziła z

Finlandii. Urodziła się na dworcu kolejowym w Helsinkach, jak to żartobliwie wspominała. Jej ojciec był wziętym jubilerem, dobrze się rodzinie powodziło, mimo to, rodzice zdecydowali, że przeniosą się na stałe do Nowego Jorku. Od tej chwili miasto to stało się dla przyszłej żony gwiazdora domem rodzinnym. Gdy Gregory Peck podejmował pierwsze próby w teatrze, ona pracowała już jako wzięta charakteryzatorka dla wielkiej damy teatru Kathrin Cornell. Tak się złożyło, że byli razem na 9-cio miesięcznym turnée. Poznali się, zaprzyjaźnili. Pewnego popołudnia przechodzili ulicą w pobliżu kościoła na Clifft Ave. i postanowili, że właśnie teraz się pobiorą. Nie ma przecież na co czekać, skoro decyzja już została podjęta. Weszli do kościoła i wzięli ślub. Ksiądz znalazł im świadków. Następnego dnia powiadomili rodziców i zaprosili przyjaciół na obiad. – *To było takie praktyczne* – wspominała po latach Greta Peck – *bez tych wszystkich ceremonii.*

W 1943 r. Gregory i Greta Peck wyjechali do Hollywood. W Europie trwała wojna. Gregory otrzymał pierwszy angaż. Został obsadzony w głównej roli w filmie Jacquesa Tourneura "Odwet". Tytuł wzbudzał jednak oburzenie, mówiono, że jest zbyt brutalny, został więc zamieniony na "Dni chwały". Film był wybitnie propagandowy, miał wspierać aliancko-radziecki sojusz w walce z Hitlerem. Gregory Peck zagrał rosyjskiego partyzanta, który organizuje akcję sabotażową. – *Z tego filmu najbardziej pamiętam* – wspominał aktor swoją pierwszą rolę – *że reżyser*

stale mi powtarzał: "Mów normalnie Greg". Wcześniej w teatrze Gregory pracował z reżyserem Guthriem Mc Clintic, który przysłuchiwał się próbom, siedząc w ostatnim rzędzie na balkonie i jeśli nie rozumiał choć jednej sylaby, natychmiast przerywał. Powtarzał ciągle, że bilety na balkon też nie są za darmo. Po takim treningu młodemu aktorowi wciąż się wydawało, że mówi cicho i niewyraźnie. A tu, w filmie ciągle słyszał pytanie: *Dlaczego tak krzyczysz, przecież mikrofon jest pod twoim nosem.* W tym wojennym obrazie występował z doskonałą tancerką Toumanową. Dla przeciwwagi jej głos przypominał szept, reżyser miał więc podwójny kłopot. Film nie był ambitny, szybko zszedł z ekranu, ale łowcy talentów zauważyli odtwórcę głównej roli. Przekonał się też do niego producent David O. Selznick.



Gregory i Greta Peck z synami,, fot. arch. Greta Peck.

Młody aktor zaczął dobrze zarabiać, 1000 \$ na tydzień całkowicie wystarczało na utrzymanie, więc jego żona zrezygnowała z pracy i zajęła się domem. Przyzwyczajona do Nowego Jorku, źle się jednak czuła w Kalifornii. – *Wydawało mi się, że mieszkamy na campingu.* – wspominała. – *Nie lubiłam życia poza miastem. Czułam pustkę, brakowało mi ruchu i szumu na ulicach Beverly Hills. Najbliższy dom oddalony był o 3 mile.*

Szliśmy tam czasem po przyjęciu o 4-5 rano, żeby wykąpać się w basenie. Właściciel tego domu był wspaniałym śpiewakiem i kochał muzykę. Nastawiał płyty, a my pływaliliśmy. Mieliśmy wtedy tyle energii.

Po filmie "Dni chwały" Gregory Peck otrzymał rolę w "Kluczach do nieba" według powieści A. J. Cronina. Aktor zagrał misjonarza w Chinach i zmieniał się na ekranie z 18-to letniego chłopca w 80-cio letniego starca. Cronin był zachwycony. Po sukcesie tego filmu Gregory Peck rozmawiał z Gary Cooperem. Było to pierwsze spotkanie z gwiazdą amerykańskiego kina, mającą na swoim koncie już kilkadziesiąt filmowych ról. Gary Cooper zapytał: - *Jak tam pańskie dwie?* (role, red.) - *Jedna dobra, jedna zła* - odpowiedział Gregory Peck. - *O, to ma pan lepszy wynik, niż my wszyscy.*

Ekranową gwiazdą o dużej popularności stał się Gregory Peck dzięki roli w westernie "Pojedynek w słońcu" (1946). Zagrał tam amoralnego łajdaka złączonego fatalną, ale ognistą miłością z piękną Jennifer Jons. To był przełom w karierze młodego aktora. Krytycy narzekali, że Gregory został źle obsadzony, że nie nadaje się do takiej roli, ale publiczność, zwłaszcza kobieca, była zachwycona. Tak samo zareagowano na kolejny western "Rewolwerowiec". Kreacja Pecka była niezwykle intrygująca i dwuznaczna. Widzowie długo pamiętali scenę, w której aktor ze zniewalającym spojrzeniem i kpiącym uśmiechem obserwuje

ludzi, którzy wokół niego mordują. Zachowuje dystans i zimną krew. Trudno przewidzieć jak postąpi.

W małżeństwie dobrze mu się układało. Był zadowolony, że jego żona zajmuje się domem, że nie jest aktorką. Kochał ciepło rodzinne i każdą wolną chwilę poświęcał rodzinie, żonie i trzem synom (Johnathan, Stephen, Carey). Na tle szybko rozpadających się związków Hollywood byli parą niemal wzorową. Wszędzie widziano ich razem, na przyjęciach i cocktailach. Prowadzili dom otwarty, mieli wielu znanych i popularnych przyjaciół. Przyjaźnili się ze słynnym kolekcjonerem i fundatorem Muzeum w Malibu Paulem Gettym. Serdeczne stosunki łączyły ich z Ronaldem Reaganem i jego pierwszą żoną, która także była aktorką. Gdy praca Gregorego wymagała wyjazdu, w podróż wybierali się całą rodziną. Nic więc nie zapowiadało rozstania, ani atmosfery skandalu. A wszystko zaczęło się niewinnie, podczas kręcenia filmu "Rzymskie wakacje". Oczywiście na zdjęcia do Włoch, które miały trwać od maja do października (1952 r.) pojechali wszyscy razem. Zamieszkali w pięknej willi niedaleko Albano, w posiadłości ziemskiej zwanej Vigna Saint Antonio. (Posiadłość tę kupił potem Anthony Quinn). Mieli służbę, szofer odwoził dzieci do szkoły. Gazety włoskie rozpisywały się na temat przyjazdu wielkiego amerykańskiego gwiazdora, pokazywano zwiedzającą miasto, rozpromienioną parę. - *Zaprosił mnie wtedy do siebie właściciel fabryki butów, pan Ferragamo* - wspominała Greta Peck. - *Przyjął mnie w salonie i obdarował różnymi modelami, ze*

swojej najnowszej kolekcji. Te będą na spacer, te z wizytą, a te na imieniny u cioci. Wyszłam z 12-toma parami butów. Byłam trochę zażenowana tą hojnością, ale nie znałam włoskiego i zupełnie nie wiedziałam, jak powiedzieć “nie” i “dziękuję”.



Gregory Peck i Audrey Hepburn w filmie „Rzymskie wakacje”,
fot. arch. Gretty Peck

Film był pierwszą większą amerykańską produkcją po wojnie. Zdjęcia kręcono w plenerze, na ulicach Włoch. Aktorom przyglądały się tłumy. Policjanci zatrzymywali ruch. Bajka o ubogim, lecz szlachetnym dziennikarzu, romansującym z piękną, wrażliwą i delikatną księżniczką, uciekinierką z pałacu (Audrey Hepburn) wszystkim się bardzo podobała. W tym czasie Gregory

Peck pojawił się na krótko w Paryżu. Przyszła do niego młoda francuska dziennikarka, rozpoczynająca pracę w "Paris Matcha", z zamiarem przeprowadzenia wywiadu. – *To była wielka, romantyczna miłość* – mówiła córka Gregorego, Cecylia – *miłość od pierwszego wejrzenia*. Gdy Gregory wrócił do Rzymu, było już jasne, że coś się stało z małżeństwem. Greta przed zakończeniem zdjęć wróciła z dziećmi do Kalifornii. Oficjalnie ogłoszono separację, która zakończyła się rozwodem. Zapytana po latach o przyczyny rozwodu odpowiedziała wymijająco. – *Gregory był bardzo rodzinny* – mówiła – *więc to jest naturalne, że spotkał w Europie inną kobietę, skoro mnie tam nie było*. Dużo później konsekwencje rozwodu okazały się jednak tragiczne w skutkach. Najstarszy syn Gregorego i Greta, Jonathan, trzydziestoletni wówczas reporter telewizyjny i pisarz mieszkający w Santa Barbara, popełnił samobójstwo. Podobno najbardziej przeżył rozejście się rodziców. Mimo, że po rozwodzie ojciec miał stały kontakt z synami, zabierał ich na weekendy, na wakacje, na święta, a także do pracy na plan filmowy, Jonathan, niezwykle podobny do ojca, zarówno z wyglądu, jak i charakteru, nie mógł zrozumieć dlaczego rozpadła się rodzina. Poczuł się niekochany, niepotrzebny. To uczucie spotęgowała w dorosłym życiu nieszczęśliwa miłość, doszło przepracowanie i choroba. Skończyło się tragicznie. Ani Greta, ani Gregory nie chcieli mówić o synu, chociaż byli w tym nieszczęściu blisko siebie.

Kłopoty rodzinne odsunęły wprawdzie aktora na jakiś czas od

filmu, ale kariery nie zaprzestał. Ważnym wydarzeniem stała się współpraca z Hitchcockiem. Powszechnie panowała opinia, że Hitchcock lekceważył aktorów. Kiedyś wyraził się, że najważniejszym etapem realizacji filmu są dla niego prace przygotowawcze, a same zdjęcia to już tylko kwestia "wprowadzenia bydła do zagrody". Gregory Peck twierdził jednak, że wiele się od reżysera nauczył. Do tej pory grał według systemu Stanisławskiego, w którym najważniejszy jest autentyzm wewnętrznego przeżycia oraz umiejętność wzbudzenia w sobie pewnych stanów uczuciowych, myśli i emocji. Natomiast mimika, gesty i ruchy są spontaniczne, stanowią zewnętrzny wyraz uczuć. U Hitchcocka wszystko było z góry przewidziane, każdy szczegół, każdy ruch. Jeśli w określonej scenie aktor chodził lub siadał inaczej niż to było zaplanowane, zaczynały się konflikty. – *Wtedy byłem niedoświadczony – wspominał aktor – teraz wiem, że należy przyjąć dawane z góry pewne gesty, ruchy, pewien sposób bycia, a następnie szukać dla nich potwierdzenia w swej psychice.*

Pozycję aktora osłabiło nieco niepowodzenie w filmie "Moby Dick" pomyślanego jako ekranizacja powieści Melville'a. Peck zagrał kapitana Achaba, demonicznego żeglarza, opętanego obsesją pościgu za białym wielorybem. Rola ta, tak charakterystyczna, nie mieściła się jednak w dotychczasowym wizerunku aktora. Niepowodzenie filmu w konsekwencji wpłynęło na zmianę sytuacji finansowej. Odtąd więc Gregory

Peck stał się współproducentem filmów ze swoim udziałem. Zaczął od malowniczego westernu "Biały kanion". Odnosił sukces kasowy filmem przygodowym "Działa Navarony", z akcją rozgrywającą się podczas ostatniej wojny w Grecji. Największy jednak prestiżowy sukces, potwierdzony nagrodą Oscara, przyniósł mu dramat społeczny "Zabić drozda". Akcja filmu rozgrywa się w małym miasteczku w stanie Alabama. Gregory Peck z wielką wirtuozerią i niezwykle przekonująco zagrał adwokata broniącego Murzyna, niesłusznie oskarżonego o gwałt. Sam aktor uważał, że był to jego najlepszy film. Miał on wymiar społeczny, dlatego pokazywany był w szkołach na lekcjach wychowania obywatelskiego. Na konferencji prasowej w Cannes, po prezentacji dokumentu o Gregorym Pecku, ktoś z sali powiedział, że właśnie dzięki filmowi "Zabić drozda" został adwokatem.



Gregory Peck w filmie „Zabić drozda”, fot. arch. Greta Peck

W dorobku artystycznym Gregorego Pecka są różne role. Przeważają role heroiczne, pokazujące Amerykę jako kraj wspaniałych ludzi, którzy potrafią pokierować własnym życiem, pokonać przeciwności losu i przezwyciężyć zło. Ale zdarzają się też role bohaterów negatywnych, jak chociażby kapitan Achab, egocentryk McArthur czy sadysta, doktor Liebermann, postać wzorowana na nazistowskim, zbrodniczym lekarzu, doktorze Mengele. Ostatnia jego duża kreacja, to rola w filmie “Old Gringo” z 1989 roku. Scenariusz oparty został na powieści harwardzkiego profesora i znanego autora Carlosa Fuentes, w

reżyserii Luisa Puenzo. Peck wcielił się w postać Amrose'a Bierce'a, amerykańskiego korespondenta w Meksyku, piszącego na przełomie XIX i XX wieku, podczas rewolucji meksykańskiej. Producentką filmu i jednocześnie filmową partnerką Pecka była Jane Fonda, w roli nauczycielki. – *Często spotykałem się z zarzutami* – powiedział Gregory Peck, podsumowując swój aktorski dorobek – *że mój typ osobowości jest trudny do zdefiniowania. Tymczasem ja się właśnie przed tym bronię. Nie chciałem by mnie zaszufładowano. Stale szukałem nowej formuły bohatera.*

Gregory Peck ma też na swoim koncie film o zupełnie innym charakterze, obraz skierowany przeciwko wojnie w Wietnamie pt. "Trial of the Catonsville Nine". Jednak wielkie wytwórnie zabroniły jego pokazywania, gdyż w sposób oczywisty sprzeciwiał się rządowi Nixona. Wyświetlano go tylko w bardzo niewielu kinach studyjnych. Do akcji pokazujących konsekwencje wojny włączył się aktywnie syn Gregorego i Grety, Stephen. Przeżył Wietnam, był więc naocznym świadkiem tych wydarzeń. Po powrocie nakręcił wstrząsający dokument. Film ten zdobył wiele nagród, pokazywany był też w Europie. Stephen przez wiele lat związany był z organizacją "Weterani Los Angeles". Pracował w administracji socjalnej. Organizacja ta dawała przejściowe miejsca zamieszkania bezdomnym weteranom, prowadziła poradnictwo w krytycznych sytuacjach, dawała pomoc psychologiczną, pośredniczyła w znalezieniu

pracy. Ludzie, zbierani z ulicy zamieszkiwali w ośrodku, który znajdował się w Long Beach, a specjaliści przeprowadzali bardzo skomplikowany proces adaptacji. W samym okręgu Los Angeles jeszcze w 2002 roku było 25. tys. bezdomnych weteranów. Greta Peck znalazła tu też i dla siebie miejsce. Przyjeżdżała do Long Beach w każdy poniedziałek, zajmowała się znajdowaniem miejsc pobytu dla bezdomnych i rehabilitacją. Przygotowywała posiłki, rozmawiała, organizowała Christmas Party.

Dzieci Gregorego Pecka z Veronique Passani, syn Anthony i córka Cecylia, grają w filmach. Natomiast synowie z Gretą, wybrali inne zawody. *- Nigdy nie chciałem być aktorem - powiedział Stephen - i myślę, że decyzją tą nie rozczarowałem ojca. Ten zawód to nie business, żeby móc przekazać go dzieciom. Aby grać, trzeba mieć unikalny zbiór cech osobowości i charakteru. Ja ich nie miałem.*

Carey Peck pracował w Metro, w dziale zaopatrzenia. Wierzył, że to co robi jest bardzo ważne. Obaj synowie ożenili się z artystkami, malarkami. Na wernisaże organizowane w Los Angeles zawsze przychodził ojciec. Wtedy się spotykali.

Gregory Peck mieszkał we wspaniałej rezydencji w ekskluzywnej dzielnicy Los Angeles w Bel Air. Posiadłość nie była dostępna, ani widoczna z daleka. Otoczona starymi drzewami, dawała poczucie spokoju i odosobnienia. Greta Peck mieszkała niedaleko

Beverly Hills. Nie miała żalu do męża. Przyzwyczaiła się być sama. Miała różne rodzaje aktywności, które jej życie wypełniały. Uważała się za szczęśliwą osobę. – *Teraz cieszę się życiem więcej niż kiedykolwiek* – mówiła – *bo więcej widzę i więcej doceniam.*



Joanna Sokołowska-Gwizdka z Gretą Peck w jej domu w Los Angeles w 1998 r., fot. arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka

Na podstawie rozmowy Joanny Sokołowskiej-Gwizdka z Gretą Peck i synem Stephenem Peckiem w Kalifornii w 1998 roku.